Nr. 5 i 6. Kraków, wrzesień i październik 1908 r. Rok I.

STRAŻ POLSKA

wychodzi w pierwszych dniach każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej" na rok 1908 wynosi **2 kor.** — dla członków „Straży Polskiej." **1 kor.** (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy **30 hal.**

Adres Redakcyi:	Wydawca i redaktor odpowiedzialny:	Adres Administracyi:
Kraków, Rynek główny L. 39.	**Kazimierz Bartoszewicz.**	**Kraków, ul. Floryańska L. 1.**

Dwie rocznice:

Król Jan.

Chwała i sława nad sławy okrywa zwycięstwo wiedeńskie i naszego Króla Jana, króla wiedeńskiego tryumfu. Wspaniałego bo czynu dokonał 12. września 1683 r. najjaśniejszy bohater polski z rycerskimi swoimi towarzyszami: spełnił czyn, w natchnieniu zamierzony, sercem płomiennem spłodzony, nieskazitelnie bezinteresowny, piękny, jak rapsod bojowy, ważny, jak sprężyna dziejów, godny uwielbienia, jako akt szlachetności niebywałej. Marzy też cały Naród, śpiewa i myśli z podnoszącem pierś upodobaniem o Królu swym, co do Mszy służył, a potem na białego konia siadł, pasa poprawił, sumiastego wasa szarpnął i z żelaznym orkanem swych husarzy na bisurmana spadłszy, rozegnał go i zmiótł. Nieraz nam się wydaje, jakoby wicher, pancernemi skrzydłami z Kahlenberga na Turków zerwany i na nas przypadał, ogarniał, poruszał. Arja polska raz po raz rozdźwięka, jak ta stal, i dzwoni głęboko, jak ten ostatni rycerski śpiew gregoryańskiego hymnu „Bogu-Rodzica"... Żywie Król Jan rzeźbiarzom i malarzom, żywie nieustannie swojemu Narodowi!

Odnosiła Polska zwycięstwa ogromniejsze, gdy Krzyżaków i ćwierć Europy z nimi sprzymierzonej pod Grunwaldem starła, albo gdy pod Beresteczkiem nieprzejrzane, jak step, mrowie wschodnich sąsiadów rozpędziła; odnosiła Polska zwycięstwa cudowniejsze, gdy pod Kircholmem czy Chocimem jeden z wieloma potykał się, a żył, albo gdy z Jasnej Góry żywioł powszechnej wojny maleńkiemi siłami odparto; odnosiła też Polska zwycięstwa rzewniej wzruszające, gdy pod wodzą Kościuszki lud wiejski pod Racławicami stłumił moskiewskie armaty, albo gdy pod Stoczkiem uśmiechnęła się wolność — wolność!. A przecież Odsiecz Wiednia potężniej trwa w duchu Narodu i nad inne dzieła świetniej w polskiem pojęciu widnieje. Osobliwa miłość otacza wspomnienie tego zwycięstwa; szczególną swojskość, nieprzerwaną doniosłość, bezpośrednią rzeczywistość odczuwa w niem Naród i waży. Stało się zapewne pod Wiedniem coś, co najdoskonalej wyraża naszą narodową istność.

Zaiste, tak. Niezwykle syntetycznym, wszechstronnie charakterystycznym jest dla nas wiedeński czyn Sobieskiego. Podniosłe przymioty polskie, lecz i nierówność zalet, zarazem także i usterki wrodzone, lecz nie nieprawości występne, stosunki zagraniczne — wszystko streściło się wybitnie w owej wiekopomnej chwili. Pobożność katolicka, poświęcenie się altruistyczne, nad roztropność skwapliwsze, męstwo niepohamowane, politykę przemagające, animusz nieostrożny, co korcił jeszcze na węgierskie puszty za Turkami gonić, wspaniałomyślność prosta i ofiarna, dyplomacya gardząca, wierna życzliwość Rzymu, natychmiastowa niewdzięczność niemiecka — wszystko to zawarte w wyobrażeniu zwycięstwa wiedeńskiego, prawdziwe nasze zwierciadło, wystawione tylko w uroczystej, napełnionej historyczną powagą, kadzidlanej atmosferze chwały. A w tem wszystkiem i aż do dzisiaj żywotnie, jakieś bardzo znajome drgnienie cierpienia.

Był bowiem i jest w Odsieczy Wiednia nietylko tryumf, najwyższym w świecie równy, ale i gorzkie męczeństwo. Męczeństwo w darze krwi — męczeństwo w pysze obdarzonych, — męczeństwo w bezeceństwie rozbioru Polski, nim wiek minął, rękami ocalonych przez Króla Jana, — męczeństwo w kłamliwem zapominaniu dobrodziejstwa, co żyć im dało, — męczeństwo zawstydzenia za zniszczenie wielkości tej Turcyi, co potem przeciw rozbiorowi naszej Ojczyzny protestowała, — męczeństwo codziennych poniżeń w Wiedniu, gdy od zbawczego Sobieskiego ledwie odludną ulicę mianują, a drobnemu dowódcy Stahrembergowi wspaniały pomnik w tumie św. Szczepana budują, albo gdy w pochodzie historycznym postać Króla Jana wśród świty cesarskiej umieścić pragną, — męczeństwo wszelakie, długowieczne, z tryumfem Sobieskiego zmieszane.

Więc w tem zwierciadle przeglądając się nasz Naród, dobrze mękę znający, widzi siebie najlepiej i wpatruje się w nie tak często. Niech się wpatruje: niech kocha duszę własną. Niech kocha, chociaż niedoskonała, — niemniej przeto pełna dobrej woli, a w porywach mocna. Niech się wpatruje tam Naród: z niezachwianą czcią przeszłości, a sam przeszłością już mędrszy, sam sędzia coraz świadomszy, co pośród pamiątek zostawić, co zaś na przyszłość rozwijać, by tryumfować bez męki.

Hetman najszlachetniejszy.

Któż to jest „hetmanem najszlachetniejszym"? Któż to tak wielkodusznie Narodowi przewodzi? Zaiste na to pytanie myśl Polaka wyrywa się skwapliwie do stóp Stanisława Żółkiewskiego. Od dnia 7. października 1620, czyli od bolesnej daty cecorskiej — od onej godziny śmierci wiekopomnego Bohatera nigdy ani współcześni Mu ani potomni nie ustawali Mu się kłaniać i stawiać postaci Jego na wysokiej kolumnie czci.

Zestroiły się w Nim bowiem wielkie przymioty w harmonię cudną, w hymn narodowy. A Naród przyjął ten hymn za swój. Sława Żółkiewskiego brzmi, jak nieustanny śpiew Mocarz to zaprawdę, sam, jak hufiec On sam: wojownik i pisarz, krasomowca i polityk, uczony i ziemianin, senator i wódz — tyleż w Nim różnych, doskonałych żywiołów, stopionych w jeden najwyższa Miłością Ojczyzny, niebiańsko olśnionych promienną pobożnością, nakoniec zatwierdzonych uwielbienia godnem męczeństwem. On jest nam zawsze, jakoby potężny, stary, podniosły hymn narodowy.

Cóż dodać Jego niedościgłej, narodowej chwale? Jest-że jeszcze jaki wspaniały przymiotnik, któregoby Mu w dziejach i pieśni już nie nadano? Być może, że już wyczerpano całe mnóstwo najśliczniejszych dźwięków polskich na opowiadanie Jego sławnego imienia. Lecz nam nie milczeć przeto, chociaż słów godnych, a górniejszych nad dawne — nie staje! Owszem, nam purpurę polskiego dostojeństwa po wieki dla Niego tkać. Potwierdzać nowymi aktami pewnik Jego ceny w Narodzie. Świadczyć sobą, że czczenie Go jest jednym z motorów narodowego życia.

Nietylko też w tem chluba nasza, że takiego „Najszlachetniejszego" Ojczyzna z siebie wydała, ani nietylko w tem, że On Ją swą służbą oddaną i zupełną pokornie uczcił — ale niemniej i wielce w tem, że z woli Narodu Żółkiewski Mu zawsze w miłości Ojczyzny hetmani. Widno ciągle trwa nad nami to samo słońce, pod którem żył hetman najszlachetniejszy: ta sama miłość ku Polsce, słońcu w natężeniu równa. Skoro bowiem tej miłości wyobrazicielowi pierwszeństwo i nad duchem naszym dowództwo dajemy, niechybnie tak jest. A miłość Ojczyzny jest naszem szczęściem, nadzieją i chwałą i jest narodową nieśmiertelnością.

Dr. Kazimierz Lubecki.

List z Brazylii.[1]

...„Piszę ja do was, Rodziciele moi,
Z struchlałem sercem, z mokremi oczyma.
A między nami morze wielkie stoi,
Nie daje do was i przez moc mnie trzyma,
Iż srogie puszcze są i góry straszą
Między mną tutaj, a hań, chatą waszą.

...Więc tylko oczy podnoszę nad szczyty,
Ranie i wieczór patrzący w tę stronę,
Gdzie jest kłosami nasz zagon nakryty,
Gdzie łąki nasze o rosie koszone...
I radbym ptakiem przelecieć tę drogę,
I wiatrem radbym przez nią — a nie mogę.

I tak mi w oczach stoi tu, jak żywa,
Ta nasza strzecha snopami poszyta,
I kalenica wysoka, a krzywa,
I dusza o niej zamyśla i pyta,
Ale jej słówka nikt stamtąd nie poda,
Taki świat ziemi je, i taka woda.

I widzę prawie chruściane te płoty,
Studnie, żórawia widzę, cembrowinę...
I rady sobie nie wiem od żoroty,
A od tęskności — o kęs, że nie ginę...
Przez góry czuję, i przez wielkie morze,
Jak mięta pachnie tam i drzewko boże...

...Chorość mnie tutaj przygniotła, jak brzemię,
Iż dobrej w sobie za grosz nie mam siły,
I prędko pewnie iść przyjdzie mi w ziemię,
Na oceańskie dno i bez mogiły,
Bo tu moc ludzi ginie z tej choroby,
Których rzucają w morze, a nie w groby.

...Tak z onych bogactw wielkich, z majętności,
Obiecowanych przez cudze te kraje,
Dla moich, w ogniu trzęsących się kości,
Trzech łokci piasku siwego nie staje,
Co u nas żebrak ma. I nie porośnie
Brzoza nademną bąskami o wiośnie.

...Więcbym tu wpisał te smutki, te żale,
I tę śmierć czarną, co na mnie już kracze,
I tę gorącość, co w piersiach mam, ale
Szkoda mi ato mamusi, że płacze
Łzami sypiąca na papier ten biały,
Co go jej morza daleko oddały.

...Bogdajżeś pierwej stradała mnie płodem,
Matko, niż na świat, na dolę tę padłem...
Bom jest chorobą ściśniony i głodem,
I jak zwierz węszę po ziemi za jadłem,
Jak ptak bez gniazda skrzydłami tu biję,
I nocą zrywam się i — jak pies — wyję!

...Prosiłbym ja was, byście mi za morze
Odkazowali, jaka była zima?
Czy tatuś pod siew nowiznę już orze?
I czy tam wiosna już, czyli mróz trzyma?
Ale, że dusza we mnie nie doczeka,
Niż pismo przyjdzie z takiego daleka.

...Oj, leciałbych ja, by gołąb ten siwy,
Alibo żóraw, kraczący o wschodzie...
Bo mi się zdaje, że znów byłbym żywy,
Po naszym chlebie i po naszej wodzie,
Ale, że srodze struchlałe mam kości
Od wielkich żarów tych i od żałości...

[1]) Jestto wyjątek ze wspaniałego poematu Konopnickiej „Pan Balcer w Brazylii". Części tego poematu umieszcza co pewien czas „Biblioteka warszawska". Ustęp przytoczony wyjęty jest z czerwcowego zeszytu tego miesięcznika.

„Więc trudne rzeczy są i podaremne,
Bym się stąd dostać przemógł za żywota.
Ale jak pomrę, to przez bory ciemne,
Przez morze pójdę, co się wichrem miota.
Pójdę i trafię pod chaty okienko...
Tak mi dopomóż Bóg i święta Męko!
. . . .

„A teraz żegnam i kłaniam się pięknie
Ojcze i Matko, do samych wam kolan,
A jak tam nocą w kominie wiatr jęknie
I z niedogasłych skry rzucą się polan,
Albo jak dźwierze kto nocą zarusza,
To będą, matuś, ja i moja dusza.

„Żegnam już wszystkie życzliwe sąsiady,
I całą naszą chudobę i pole,
Żegnam i grusze na miedzy i sady
I żytnie brogi i zasiek w stodole,
I całą wioskę od płota do płota,
I kosę moją żegnam już i wrota.

„Teraz mi dajcie bić z wieży we dzwony,
Od wschodu słońca, do zachodu słońca
I niechaj będzie Chrystus pochwalony!
I ostaj z Bogiem, moja kochająca
Matuchno droga! I ty, Ojcze miły!
I kłaniam wam się od mojej mogiły".

Marya Konopnicka.

Zaraza.

Gdy tylko telegramy przyniosły wiadomość o pojawieniu się cholery w Petersburgu, natychmiast najwięcej odległe miasta i prowincye skwapliwie pomyślały o wszelkich środkach zaradczych, natychmiast zabrały się do czyszczenia i dezynfekcyonowania pałaców, domów, ulic i rynsztoków, zaraz najsurowszemu poddały badaniu i zdrowych i chorych, — słowem zarządziły wszystko, aby uniknąć zarazy, aby uchronić mieszkańców od nowego nieszczęścia.

A tymczasem choroba, o której niżej słów parę, gorsza jest, niż dżuma i cholera, wstrętniejsza, niż wrzody i gangrena — mimo to nikt na nią uwagi nie zwraca, nikt o jej usunięciu pomyśleć nie chce.

Chodzi tu o przerafinowane, o przepodłe wydawnictwa dzieł treści belletrystycznej. Czy znacie te szpargały, których tytuły takie, jak: *Królowa awanturnica* (senzacyjna powieść z życia serbskiej pary królewskiej Dragi i Aleksandra)? Czy znacie takie, jak: *Wolnomularze, czyli tajemnice lóż masońskich?* A *Nienawiść i miłość, czyli tajemnice zamku Felseg?* A te niezliczone zeszyty przygód *Sherloka Holmesa* i *Buffalo Bill'a??* Czy znacie to wszystko? Wątpię, a raczej chcę wątpić, że nie, bo gdybyście znali, „powieści" te nie istniałyby w naszych księgarniach, nie znajdowałyby się w rękach młodzieży obojga płci, w rękach służby i warstw t. zw. niższych. A jednak one są, a są tak rozpowszechnione, że prawie niema ucznia i uczenicy, sługi i lokaja, wyrobnika i stróża domowego, któryby ich nie miał, nie pożyczał i nie czytał! Zaraza wśród nas, zaraza okropna i haniebna, a wy o jej wytępieniu ani nie myślicie, ani nawet na nią uwagi nie zwracacie!

Cóż to są za książki i dlaczego takie pioruny spadają na nie?

Leży przedemną ich stos. Kupiłem je „dla studyów" (rozmyślnie) za kilkadziesiąt koron, rozcinam karty, czytam zasmarowaną bibułę! To, co sobie możecie wyobrazić najohydniejszego, najniegodziwszego — wszystko tam jest! A więc zbrodnie i łotrostwa, najwstrętniejsze romanse i intrygi, kryminał i szubienica, złość i podłość — oto osnowa, oto podkład ich treści, ich „fabuły"...

Najwstrętniejszy przytem język i styl, najokropniejsze błędy gramatyczne, stylistyczne, ba, nawet ortograficzne, najrynsztokowsze obrazy i epizody... oto ich szata zewnętrzna...

Nie dość na tem! Te przepodłe i przeokropne historye ubierają się w szatę religii, salonu! Przywdziewają *glacé* rękawiczki, przypinają kwiaty do butonierki i w ten sposób z tem większą czelnością i arrogancyą wdzierają się w ręce czytelników, wżerają w ich umysł i wyobraźnię...

Skutki tej lektury wprost nieobliczalne, zgubne, potworne, a sa trojakiego rodzaju.

Oto taki n. p. p. R. Landau we Lwowie (Czarnieckiego 3.) w monopol niejako nakładowy wziął wydawnictwa tej treści, co wspomniana *Królowa awanturnica, Wolnomularze* i t. p. Wydaje te powieścidła zeszytami w cenie 20 halerzy za zeszyt. Treść już pierwszego numeru tak ułożona, że mało inteligentnego czytelnika musi zająć, porwać, zaciekawić. — To też ten czytelnik, któremu kolporter wcisnął w rękę zeszyt pierwszy, sam stara się o drugi, trzeci, dziesiąty... Powieści te ciągną się długo; dochodzą nieraz do kilkudziesięciu numerów, za każdy z nich płaci taki biedny wyrobnik, czy student, czy sługa 20 hal. — czyli, krótko mówiąc, za jednę obrzydliwą, na lichym papierze drukowaną powieść płaci ratami blizko 6 do 10 koron. Czy wy to rozumiecie? Nie dość na tem; jeszcze nie skończyła się powieść jedna, a już poczyna wychodzić druga, trzecia... Ten, biedny, nieuświadomiony, przez nikogo nie przestrzeżony czytelnik, zaciekawiony kryminalistyką pierwszą, prenumeruje już drugą i następną..

To pierwszy doraźny skutek tej wyrafinowanej lektury... Miasto ciężko zarobiony grosz, złożyć do kasy, miasto kupić za niego książkę i dobrą i ciekawą i pożyteczną, miasto lepiej odżywić się i posilić — ten otumaniony a zapalony czytelnik wyrzuca ów cent w śmieci, w gnój! Nie, nie on wyrzuca! Wydzierają mu go raczej piekielną treścią, intrygą i jego własną głupotą...

Albo uczeń, uczenica!.. Ci ostatni mniej czytają powyższe śmieci, masami jednak za to kupują *Sherloka Holmesy, Buffalo Bill'e* i t. p. Skąd mają na to pieniądze? Wątpię i muszę wątpić, aby dostawali na to od rodziców! Mają je albo z lekcyi, albo pieniądz otrzymany na cel dobry, obracają na powyższy, albo też dochodzą do nich sposobem najgorszym, którego nazwę lepiej pomińmy. Ba, referaty dziś już o tem mówią i piszą! Co tego powodem? Dość często bieda i nędza. Ale częściej jeszcze (wprost nie do uwierzenia!) to właśnie lektura powyższych szpargałów. Dla niej uczniowie swój groszowy majątek rujnują doszczętnie, za nią tęskniąc, pożądają jej za wszelką cenę, choćby nawet drogą szacherstwa i matactwa.

To skutek jeden, to owoc pierwszy cierpienia powyższych wydawnictw. Drugi, jeszcze gorszy, dotyczy nietylko marnotrawstwa grosza, ale rujnuje wprost zdrowie moralne, nawet fizyczne! Cóż bowiem dobrego dziać się może z młodocianymi umysłami, jeśli karmią się tylko plugastwem i zbrodnią, rynsztokiem i gnojem?

Te młode dusze w gruncie rzeczy temu nie winne! W wyrafinowanie zaciekawiający sposób pisane te powieści zajmują ich wyobraźnię ponad wszystko; ich myśl zaprzątnięta niemal wyłącznie „dalszym ciągiem", lub dopiero co przeczytanym epizodem obrzydliwego romansu albo dokonanej zbrodni... Fantazya zapładnia się kryminałem, ekscentrycznością, rozpustą — krótko, najbrudniejszą stroną ludzkiego życia... Jakie tego następstwa? Nie chcę być patetycznym moralizatorem, nie chcę wołać: „Ratujcie! Nauka na tem cierpi!" choć cierpi

Wycieczka do Warszawy.

Czy mam powtarzać stare i uznane „prawdy?" Czy mam dowodzić, że wycieczki kształcą, że „cudze znać dobrze, lecz swoje potrzeba", że są mury, które uczą, że są kamienie, co do serc przemawiają? Lub może mam przekonywać, że im lepiej swoi się znają, tem lepiej się rozumieją?

Nie, — ani tego dowodzić, ani o tem przekonywać nie potrzeba. Należy jednak przypominać. Bo ze staremi prawdami jest tak, jak z cnotami. Wszyscy mają dla nich w zasadzie wielki szacunek, wszyscy kornie przed niemi schylają czoła, ale iluż jest takich, którzy się poddają ich.. despotyzmowi?

Więc i stara prawda, że trzeba znać co swoje, że należy pielęgnować łączność między dzielnicami, ma u nas miliony wyznawców, ale zaledwie mały procent „praktykujących". Poznańczyk wie dobrze, że obowiązkiem jego jest stanąć u trumien Wawelu, zaczerpnąć powietrza u mogiły „Naczelnika", pokłonić się przed ołtarzem maryackim, spojrzeć na miejsce hołdów Albrechtowych, poznać wogóle tę wielką skarbnicę zabytków świetnej przeszłości, jaką jest Kraków; on również uznaje, że mu wypada zobaczyć i Warszawę, tę drugą stolicę, w której robiła się historya nasza trzech ostatnich stuleci, której kamienie są wymowniejsze, niż pisane dzieje — on to rozumie, przyznaje, ale Berlin tak blizko, a Paryż, choć nieco dalej, lecz jakież w nim rozkosze! A czy człowiek „kulturalny", jeżeli go stać na to, może nie zwiedzić galeryi drezdeńskich, muzeów monachijskich, czy mu wolno nie podjechać gondolą pod plac św. Marka, nie podumać nad znikomością rzeczy ludzkich w rzymskiem Colosseum, lub nie popieścić oczu widokiem zatoki Neapolitańskiej? Zresztą Kraków i Warszawa „nie uciekną", a tamto uciec może, bo nie zawsze znajdzie się sposobność, niezawsze dopisze „zdolność finansowa".

Galicyanin rozumuje zupełnie w ten sam sposób. Jemu znów nie uciekną Poznań i Warszawa. A pomijając już Rzymy i Paryże (do Berlina rzadko się wybiera, bo jest mu na boku), ma o kilka godzin wesoły i ładny Wiedeń. Jest on dla niego Mekką, czuje się w nim jak w domu. To też niema dnia, żeby choć kilkudziesięciu Galicyan nie spieszyło do stolicy, położonej nad pięknym, modrym Dunajem. Nietylko bogaci i zamożni, ale chudopachołek, jeżeli dorwie się jakiejś choćby setki koron, nie objętej preliminarzem domowego budżetu, pędzi do tej Mekki, aby za powrotem mógł mówić: „Byłem w Wiedniu, pysznie się bawiłem". Każdy też z nich przy każdej sposobności stara się udowodnić, że żadna wiedeńska *strasse* nie jest mu obcą, że zna wszystkich wiedeńskich aktorów, że tak na Wurstelpraterze jak i w każdym tinglu czuje się jak u siebie w domu.

Królewiacy napozór są lepsi. Mogą z dumą powiedzieć: Dziesiątki tysięcy nas były w Krakowie. Prawda, zupełna prawda. Hotele krakowskie żyją i tyją przeważnie z królewiaków, zwłaszcza podczas lata. I (znowu prawda) pomiędzy królewiakami znajdziesz takich bardzo wielu, którzy nie raz, ale kilka razy byli w Krakowie. Znają mniej lub więcej dobrze Wawel, kościoły, muzea i Hawełkę. Ale — proszę mi darować — wszak mówi swój do swoich — główna tu zasługa nie królewiaków, lecz położenia geograficznego Krakowa. Przenieście, dajmy na to, Lwów na miejsce, gdzie „Rudawa do Wisły wlewa swoje fale", natomiast przesadźcie Kraków nad brzegi wonnej Pełtwi, a owe dziesiątki tysięcy królewiaków będą dobrze znały Wysoki Zamek, gmach sejmowy, wały hetmańskie i cerkiew św. Jura, a tylko odsetki z nich staną u grobów królewskich, u sarkofagów Kościuszki, księcia Józefa i Mickiewicza..

Kraków, szanowni bracia królewiacy, leży wam po drodze do Wiednia, do Włoch, do Budapesztu, Pragi, do Monachium, do Nicei, a nawet do Aten, Kairu, Algieru. Jeździcie do Paryża przez Berlin, ale z powrotem, aby coś więcej zobaczyć, kierujecie się na Szwajcaryę, Wiedeń — i znów obok Krakowa przejeżdżacie. Ciągnie was do siebie Zakopane — a tu już Krakowa ominąć nie można. Dażycie po zdrowie do Krynicy, Szczawnicy, Rabki, Iwonicza i t. d. — więc, chcecie czy nie chcecie, a w Krakowie będziecie. Wiem, że chcecie. — ale położenie Krakowa wam to ułatwia. W ostatnich zaś czasach i smutne wypadki polityczne zwiększyły waszą znajomość Krakowa: nietylko setki młodzieży pobiegły do niego po naukę, ale i setki rodzin opuszczały nieszczęsną Warszawę, aby w murach jagiellońskich odetchnąć na chwilę w spokoju.

Uderzcie się w piersi i powiedzcie: ilu was było w Krakowie tylko dla Krakowa, aby go zobaczyć i, zobaczywszy, powrócić do siebie?

A w tem zapytaniu tkwi nie usprawiedliwienie — broń Boże! — ale okoliczność łagodząca przy wydaniu wyroku na galicyan za ich małą znajomość Warszawy. Popełniają grzech, lecz i wybyście go może popełniali, gdyby wam nie sprzyjały okoliczności. Dla galicyanina Warszawa nigdzie nie jest po drodze. On musi wybierać się do niej umyślnie. Co większa, on się boi jej anormalnych stosunków, obowiązujących w niej przepisów — jemu się zdaje, że, jadąc do niej, popełnia krok bądź co bądź ryzykowny. I nie dziwimy się temu: dużo uczyniono (nie z naszej strony), aby wzniecić tę obawę, często nie pozbawioną podstaw. Szerzej to omówił p. Z. Dębicki, w artykule „Goście z Galicyi". (Nb. Zamiast powtarzać jego uwagi, wolałem cały ten artykuł w *Straży* przedrukować).

Nie wspominam już o kilku latach ostatnich, o tych bolesnych stosunkach, które i mniej trwożliwym chęć zwiedzania Warszawy odbierały.

A choć może są między galicyanami „rycerze bez trwogi", to i tak niejeden z nich na myśl o wyjeździe do Warszawy czuje się skrępowany. Nie jest przyzwyczajony do paszportu, obchodzi się bez niego przez całe życie, a tu trzeba się o niego starać, co, jak okazała ostatnia wycieczka, nie każdemu przychodzi bez trudności. Jadąc sam do nie znanego miasta, obawia się fałszywych kroków, ni wie, jak się w niem obracać, jak sobie poradzi

bardzo, więcej, niż przypuszczać można! Uczeń w szkole nie uważa, choć siedzi cicho, bo myśli jego albo przy Sherloku, albo przy Dradze! W domu nie uczy się wcale, albo krótko, zbywająco, bo rwie się do ukrytej w sienniku książki... Nie o tem jednak mówię! Następstwa są jeszcze gorsze, jeszcze więcej przerażające! Oto, pod wpływem rozpalających tych „historyi" uczeń poczyna chorować! Burzy się krew, szargają nerwy — rezultatem tego przedwczesna dojrzałość, objawem jej — samogwałt! O, tak! Biedni ci uczniowie i uczennice! Niejedno z nich wygląda źle z głodu i niedostatku, ale większość toczy choroba, choroba powyższa! Popęd płciowy rozbudza się dzięki tym lekturom nadmiernie, zawcześnie, zaspokojenia go szukają „uświadomieni" w prostytucyi, nieuświadomieni — w samogwałcie! Dziś wre całe społeczeństwo (zwłaszcza po większych miastach) na „moralność" młodzieży! Wre i słusznie! Ale gdzie źródło tego? Jedno z pierwszych w powyższej lekturze. A kto temu winien?

Nie dość na tem. Dzięki tym przepodłym książkom zdarzają się wypadki prawie wprost komicznobolesne! Oto n. p. niedawno temu opowiadała mi matka, (pani z bardzo dobrego domu), że syn jej kraść począł! Nie do wiary! a jednak prawdziwe. Rzecz miała się tak. Dzięki służącym dostawali jej dwaj synowie do czytania *Sherloka Holmesy*. Zabawili się też w złodzieja i detektywa. Młodszy syn, niby na żart, kradł i chował przeróżne przedmioty, dowodząc bratu, że on ich odszukać nie potrafi! — Zabawa stała się wnet nałogiem! Czy zrozumiałe??

To skutek drugi; jest jeszcze trzeci... Ten wyda się wam może najmniejszym, mimo, że dla mnie, jak dla całej *Straży Polskiej* bardzo ważny... Mówię o czystości języka polskiego!

Nie przydadzą się na nic „Poradniki językowe", na nic „kąciki językowe" w naszem i innych pismach, nie pomoże piorunowanie na ogół dziennikarstwa! Wina leży głębiej, w tych właśnie wydawnictwach. Pisane najokropniejszym stylem i językiem, zarazę rozsiewają w mowie i piśmie swoich czytelników! Zarazę tem większą, że czytający te potworne utwory, czytają je z całą zawziętością i uwagą; że pamiętają każdy niemal szczegół i sytuacyę. Wraz z tem — wślizguje się równocześnie w umysł i pamięć słowo, jakiem ten lub ów epizod ubrany został... Stąd pochodzi już za młodu przeokropne pokaleczenie ojczystej mowy, którego później wyzbyć się trudno! Ono tkwi w myśli, we krwi...

Oto, parę tylko słów w sprawie podług mnie jednej z najboleśniejszych, najsmutniejszych, gorszej od dżumy i cholery.

Skąd się ta zaraza wzięła? Nie tu miejsce dochodzić początków i przyczyn. Ruch ku powieści kryminalistycznej, pożądanie książki pełnej sensacyi, bogatej „fabuły" dziś wszędzie powszedni... Pomnożył go Conan Doyle, powiększył Edgar Poe. Czytelnikom sprzykrzyły się, znudziły, przesubtelne analizowania ludzkiej duszy! Zapragnęli sensacyi, napięcia nerwów — dostali, czego chcieli! Nie zwrócili tylko uwagi na to, że pod płaszczykiem artystów, pod ochroną dzieł i talentów, zrazu przemycać, a później otwarcie, z całą bezczelnością poczęto wydawać miliony książek obydnych, obliczonych na zmysły, łatwowierność i głupotę! — W ten sposób zaraza zyskała sobie prawo obywatelstwa, ba, nawet codziennej strawy.

Jak ją tępić? W pierwszym rzędzie winny wyrzucać to śmiecie za drzwi, nie przyjmować go w komis nasze poważne księgarnie. Wprost zrozumieć nie umiem, jak mogą polskie, tak zwane i istotnie pierwszorzędne księgarnie trzymać na składzie tego rodzaju brud i wrzody! Czy dla interesu? śmieszny to i potworny powód. Sam byłem świadkiem, jak wyrzekano w jednej księgarni, że wszystko odłogiem leży, tylko *Dragi* i *Holmesy* „idą". A czemu je sprzedajecie? Dlaczego tańczycie wiecznie za ladą, aby niedorostkom wyszukać żądanego numeru *Sherloka* za — — 20 hal.? Gdzie wasza ambicya i istotnie rozumne poczucie (jeśli nie doniosłej sprawy), to prawdziwego zysku??

Najwięcej jednak mogą zrobić rodzice, wychowawcy, wogóle ludzie starsi, a dbający o dobro społeczne! Winni — mojem zdaniem — wprost z rąk te bakcyle wydzierać i palić, winni użyć choćby najdrażniejszych środków, by wytrącić tę truciznę (kieszeni, zdrowia duszy i ciała oraz mowy ojczystej) z dłoni dzieci, młodzieży, służby, wogóle podwładnych! W wysokim stopniu, o ile wiem, czynią to nauczyciele gimnazyalni! Rozumieją niebezpieczeństwo i dzięki im za to! Ale oni nie dokażą wiele, bo przed okiem nauczyciela więcej się uczeń kryje, niż złodziej przed policyą... Dom, rodzina — nie, za mało! — całe społeczeństwo winno się zabrać do wyniszczenia i wytępienia wstrętnej tej zarazy! Bojkotować ten towar na równi (jeśli nie bardziej) z prusactwem, tępić go, jak się tępi nie chlujstwo, wypalać, jak się wypala cuchnące wrzody!

Antoni Euzebiusz Balicki.

Przyczynki do „kwestyi ruskiej".

(Ciąg dalszy).

III.

Magenta i Solferino (1859) nauczyły Austryę rozumu. Pobita, zmniejszona, ujrzała ujemne strony rządów biurokratycznych, centralistycznych i germanizacyjnych. Więc też cesarz Franciszek Józef zdecydował się na zaprowadzenie doniosłych reform w ustawodawstwie i administracyi. Miał je przeprowadzić gabinet hr. Rechberga, w którym najważniejszą tekę, ministra spraw wewnętrznych, objął namiestnik Galicyi, Agenor Gołuchowski.

Zanim został wydany za inicyatywą Gołuchowskiego słynny dyplom październikowy, otwierający w Austryi erę konstytucyjną, już powiew nowych prądów uczuło społeczeństwo galicyjskie. W grudniu 1859 Gołuchowski wydał rozporządzenie, aby władze polityczne porozumiewały się ze stronami w obu językach krajowych i odpowiadały im w takim języku, w jakim wnoszono podania. Gminom wolno było w urzędowaniu używać zarówno języka niemieckiego, jak polskiego i ruskiego. Gołuchowski kładł wreszcie nacisk na to, że urzędnicy powinni znać języki krajowe, przez co naturalnie młodzieży obu narodowości otwierał drogę do urzędów.

Podobne rozporządzenie wydał dla sądów minister sprawiedliwości, dozwalając używania języków krajowych przy rozprawach karnych.

W lipcu 1860 Gołuchowski rozszerzył te ustępstwa językowe na wszystkie władze galicyjskie.

Dzięki więc polskiemu mężowi stanu język ruski odzyskiwał te prawa, które miał niegdyś za Rzeczypospolitej, odzyskiwał na równi z językiem polskim, pomimo, że zeszedł na stanowisko narzecza ludowego, z którego dopiero usiłowano zrobić język literacki. Do odzyskania tych praw sami Rusini niczem się nie przyczynili — była to dobra wola Gołuchowskiego.

Dyplom październikowy przyjęła Galicya dość zimno. Z jednej strony nie dowierzano rządowi austryackiemu, przewidywano że biurokracya, centralizm i germanizacya nie tak łatwo się poddadzą, w czem, nawiasem mówiąc, nie mylono się; z drugiej strony sama konstytucya nikogo bardzo nie rozpalała. Zabezpieczenie praw wolnościowych jednostkom nie zabezpieczało jeszcze praw narodowych. I przy konstytucyi można było dalej germanizować, utrzymywać język niemiecki w szkołach i wewnętrz-

---

Zresztą Warszawa dość niezasłużenie ma opinię drogiego miasta, a c. k. galicyanin musi się liczyć z groszem, aby miał czem opłacać dodatki do podatków...

Otóż to wszystko mając na uwadze i hołdując wypisanym na czele niniejszego artykułu starym i uznanym prawdom, „Straż polska", wierna swoim zadaniom, postanowiła ułatwiać mieszkańcom Galicyi zwiedzenie Warszawy przez organizowanie wspólnych wycieczek.

Pierwszą z nich urządziła bez dziennikarskiej reklamy. Dała do pism tylko suchą wzmiankę, że przyjmuje zapisy do wycieczki, która wyruszy w końcu września i że ogranicza ilość uczestników do 50, ponieważ tłumne wycieczki chybiają celu tam, gdzie idzie nie o przyjemność i zabawę, ale o skrzepienie serc, o poznanie drogich pamiątek i rzeczy godnych widzenia. W okólniku, rozesłanym do zgłaszających się, „Straż" zapewniła uczestnikom nizkie koszta wycieczki, dobre pomieszczenie, przewodników dokładnie znających Warszawę i jej zabytki, wreszcie te ułatwienia i udogodnienia, z jakich nie mogą korzystać osoby oddzielnie zwiedzające Warszawę.

Liczba uczestników zmniejszyła się w ostatniej chwili. Kilku z nich nie otrzymało urlopów, kilku nie doczekało się paszportów [1])

Wreszcie obawa przed cholerą i kwarantanną odstraszyła trwożliwszych...

* * *

([1] Ludziom zamieszkałym od szeregu lat w Krakowie kazano starać się o paszport w miejscu przynależności. Rezultat taki, że kiedy do wyrobienia paszportu i otrzymania wizy rosyjskiej trzeba we Lwowie dwu dni, a w Krakowie czterech, przynależni do gmin wiejskich i małomiejskich otrzymali paszporty po dniach 10—15, kiedy wycieczka była już w Warszawie, a nawet powróciła.

Pierwsza wycieczka udała się znakomicie.

Tylko ten, co słyszał te szczere, z serca płynące wyrazy wdzięczności, jakiemi uczestnicy darzyli inicyatorów i przewodników wycieczki, mógł odczuć to głębokie wrażenie, jakie pobyt w Warszawie wywarł na garstce członków „Straży polskiej".

A główna przyczyna tkwi w tem, że nie spodziewali się zobaczyć tego, co zobaczyli

O Warszawie Galicya ma bardzo mylne wyobrażenie. Wie, że to jest wielkie, wesołe miasto — i na tem koniec. Zna — Warszawkę, nie Warszawę. Opinię tę podtrzymują sami warszawiacy.

To nie żart, to szczera prawda. Warszawiak lub warszawianka, spotkawszy się gdzieś „na wodach" z „galileuszami", mówi im: „Jak tu u was nudno, jacy wy ospali — przyjedźcie do nas, zobaczycie, jak wesoło żyjemy, świetnie się zabawicie Kochana nasza Warszawka — co za ruch, co za życie! To mały Paryż. W Wiedniu o 10 tej wszyscy śpią — u nas dopiero życie się zaczyna... Nie mamy, co prawda, wielu zabytków, pamiątek przeszłości — jeden, dwa dni wystarczą do ich poznania — ale wy chyba jesteście niemi przesyceni, aby wam o nie chodziło"...

I tu jest nieporozumienie. Warszawa ma tyle zabytków, tyle pamiątek przeszłości, co Kraków, a może i więcej. Oczywiście nie dla obcych, lecz dla swoich. Brakuje jej, z małym wyjątkiem, wielkich dzieł sztuki, wiek XV. i XVI. kryją się zaledwie w kilku skromnych kościołach i wśród zaułków Starego Miasta. Budowlami średniowiecza nie zaimponuje anglikowi, ale dla nas te skromne budowle są drogie i miłe. Nie zaimponuje również nikomu kościoły, stawiane za Wazów i Sasów, ale w każdym z nich są szczegóły godne uwagi, są pomniki ludzi zasłużonych, są dzieła sztuki, a nadewszystko każdy ma jakieś wspomnienie. Każdy prawie był świadkiem aktów i wypadków, o których się chłodno nie mówi. Poza tem posiada Warszawa cały szereg pałaców XVIII. w., a kronika każdego

z nich to kartka z dziejów narodu; wiele z nich należy do ładnych zabytków architektury, niektóre wewnątrz posiadają cenne zbiory sztuki i pamiątek narodowych. Ma Warszawa zamek, nie będący arcydziełem architektury, to prawda, ale ileż do niego przywiązanych wspomnień; widział on czasy tryumfów i upadku, w jego murach obradowały sejmy, w nim uchwalono ustawę 3-go maja; posiada on jeszcze całe sale, zachowane w dawnym majestacie, są w nim jeszcze pamiątki dawnej chwały. Każda ulica Warszawy, z wyjątkiem nowych dzielnic, posiada swoją historyę, a kto świadom dziejów Warszawy, musi się zatrzymywać na każdym kroku, aby objaśniać oprowadzanym: tu było to, a tu tamto. Pomijając wieki dawne, wszędzie się spotykamy ze wspomnieniami o Sobieskim: tu jego serce w sarkofagu, tam kościół wystawiony na pamiątkę wiktoryi wiedeńskiej, tu grób jego córki... A potem przesuwa się przed oczyma zwiedzających Warszawę cały wiek XVIII. i XIX. dziejów naszych. Wszędzie pamiątki sejmu czteroletniego, ustawy majowej, insurekcyi Kościuszkowskiej. A później co krok spotyka się z Księstwem Warszawskiem; tu Napoleon wydawał bale, tu stał w r. 1812, tam mieszkał książę Józef, tu Woronicz poświęcał chorągwie... A potem stoi przed tobą całe Królestwo Kongresowe w pałacach ministeryów, w domu Tow. Przyjaciół Nauk, w budowlach uniwersyteckich. A o czasach późniejszych 1861—1863 r. mowi również każdy kamień, każda ulica, każda świątynia...

Gdziekolwiek spojrzysz, wszędzie coś przypomina lata doli i niedoli, wszędzie jakaś pamiątka, wszędzie ślad wielkich faktów, wielkich porywów, wielkich ludzi. Tu były koszary kadeckie, z których wyszło tylu mężów dzielnych i znakomitych, w których uczył się Kościuszko. Tu mieszkał Stanisław Małachowski, marszałek sejmu wielkiego, tu jego grób, a tu pomnik w katedrze. Tu Andrzej Zamojski pisał swoje prawa, tu się urodził Lelewel, tu żył Zygmunt Krasiński, tu tworzył Słowacki, tu mieszkał Chopin, tu się urodził Kraszewski, tu umarł Mal-

nem władz urzędowaniu. Społeczeństwu polskiemu szło o autonomię, o prawo rządzenia samemu sobą. Tego mu konstytucya nie dawała, a więc przyjęto ją bez zapału.

Tylko brakiem zaufania do byłego namiestnika i niezrozumieniem położenia da się wytłumaczyć fakt, że upadek Gołuchowskiego nie wywołał w Galicyi żalu, a złożenie losów reformy państwa w ręce Schmerlinga (15 grudnia) obudziło nadzieje. Co prawda, centralista ten umiał ująć sobie opinię, oświadczywszy gotowość przyjmowania jej objawów. Więc też w początku stycznia 1861 wyruszyła z Galicyi pod przewodnictwem Smolki i Adama Sapiehy tłumna deputacya, złożona z przedstawicieli wszystkich sfer społeczeństwa, aby nowemu ministrowi przedstawić żądania kraju. Memoryał zawieziony przez nią zaznaczał przedewszystkiem, że Polacy galicyjscy wraz z Rusinami stanowią odrębną indywidualność historyczno-polityczną; jako tacy pragną wspólnego sejmu z władzą ustawodawczą, urzędników krajowych, praw językowych itd. [1]).

Na wiadomość o przyjęciu tej delegacyi stronnictwo świętojurskie postanowiło ze swojej strony zrobić krok do Schmerlinga. Ziarno zasiane przez Pogodina i innych „misyonarzy" już wschodziło [2]); szła wśród wyższego duchowieństwa silna agitacya przeciw Polakom. Więc też siedmiu dostojników cerkwi ruskiej z trzema urzędnikami bractwa stauropigiańskiego uznało się za reprezentantów Rusi i pojechało do Wiednia przedstawić Schmerlingowi życzenia drugiej narodowości. Kładli nacisk na to, że z Polakami nie mają nic wspólnego, że chcą, aby życzenia ich narodu traktowano osobno, a pomiędzy temi życzeniami była kwestya ortografii, kształtu głosek (nienaruszalność kirylicy), napisów na tablicach gminnych; skarżyli się też, że urzędnicy państwowi stosują się do życzenia gmin w sprawie językowej, ponieważ wiele gmin ruskich oświadczyło chęć urzędowania po polsku.

Ten krok samozwańczy oburzył tę część Rusinów, która jeszcze była wierną wspólnym ideałom obu narodowości. Więc zwołali wiec i wysłali drugą ruską deputacyę do Schmerlinga z protestem przeciw świętojurcom. Deputacya jechała przez Kraków, gdzie ją przyjęto owacyjnie. Niezliczone tłumy witały ją na dworcu krakowskim; na mowę powitalną odpowiadał gorąco rusin Łodyński. Te same tłumy towarzyszyły deputacyi do hotelu Saskiego, gdzie były dla niej przygotowane pokoje. W teatrze podczas przedstawienia „Krakowiaków i górali" aktor grający organistę wzniósł zdrowie Rusinów. Cała publiczność powstała, kobiety rzucały kwiaty z galeryi. Nazajutrz (28 lutego) wydało obywatelstwo krakowskie ucztę na cześć delegacyi. Posypały się gorące mowy, uderzające w strunę jedności narodowej i miłości braterskiej. Józef Szujski wygłosił toast wierszem, którego główny ustęp brzmiał:

Dziś kiedy Kraków sędziwy
Serce i urna tej ziemi,
Przybyciem waszym szczęśliwy
Wita was dłońmi drżącemi.

(Tu wspomniał poeta o nieobecnych, a więc o Litwie, Królestwie, Wielkopolsce i zakończył:)

Gdy tęskne nasze ramiona
Cisną was bracia Rusini,
Gdy tamtych cisną do łona
W świętej miłości świątyni —

Dozwólcie, że toast wygłoszę
Najmilszy sercu naszemu,
A duszkiem wychylić go proszę:
Kochajmy się po staremu.

Na toast ten również wierszem polskim odp[...] wiedział Dymitr Koczynduk, wspominając, „żeśmy z wami razem pięćset lat żyli", razem walczyli za wolność, wspólne mamy groby.

„I dzisiaj bracia miłość naszem hasłem
„W sercach bratniego ludu jeszcze niewygasłem[...]

Deputacyę w dalszej drodze do Wiednia witały tłumy okrzykami i muzyką w Krzeszowicach, Trze[...]bini... Przyjął ją Schmerling 4 marca. Objawiła m[...] ona, że Rusini przystąpili do deputacyi, jaką Gali[...]cya wysłała w początku stycznia, że sprawę rów[...]nouprawnienia obu narodowości chcą Rusini pozo[...]stawić uchwałom sejmowym, że ci co starają sią [...] niezgodę między bratniemi plemionami, nie mają prawa reprezentować Rusinów, że ich program i cel[...] nie są programem i celem ludu ruskiego w Galicyi.

Deputacyę w Wiedniu witali przedstawiciele młodzieży ruskiej. Mówca ich zaznaczył radoś[...] z przybycia pierwszej ogólnej krajowej deputacyi (Smolki i Sapiehy), ale „po dobrym i krasnym pohane i łukawe pryjszło" — więc dobrze, że przybyła prawdziwa ruska deputacya, „aby tu nywu narodnu nazad zoraty, kotoru nesumlinni ruki rozboroły i zepsowały". Mówca wspomniał, że Polacy i Rusini „to dity jednoj rodyny" i że „nie wyjszły z dobroho serdcia tii słowa, kotori meże bratmy lubow zapereczajut".

Schmerling niby cieszył się ze zgody narodowości, (tak przynajmniej oświadczył deputacyi), ale skorzystał z wyciągniętej do niego ręki świętojurców, którzy w serwiliźmie żadnych granic nie znali i udzielił im silnego rządowego poparcia przy pierwszych wyborach sejmowych. A ponieważ księża ruscy, mający wpływ nad ciemnym, nieprzygotowanym do spełniania obywatelskich obowiązków ludem, byli zależni pod każdym względem od sw[...] jej duchownej władzy, od świętojurskiego konsystorza, przeto wybory w mniejszych własnościach wsc[...] wschodniej Galicyi wypadły przeważnie po myśli rządu i świętojurców, choć nie tak „dobrze" [...] sobie życzył Schmerlin[1]). Rusini pragnący zgody [...]

[1]) Obszerniej o tej delegacyi, jakoteż wogóle o początkach ery konstytucyjnej w Galicyi, umieściłem w r. 1906 szereg fejletonów w „Słowie Polskiem" — do nich więc ciekawych odsyłam.

[2]) Pogodin podróżował parokrotnie po ziemiach słowiańskich i sprawozdania ze swej misyi przesyłał rządowi rosyjskiemu. W listach jego z pierwszej podróży (1839–1842) czytamy, że pierwsze prawo do pomocy Rosyi mają Rusini, którzy są prawdziwymi Rosyanami, takimi samymi jak mieszkańcy Połtawy i Czernichowa. Są to „nasi rodzeni bracia, naszym językiem mówią, naszą wiarę wyznają, jedną z nami mają historyę. Ci prawdziwi Rosyanie jęczą pod jarzmem Niemców, Polaków, Żydów i katolicyzmu i na naszą obojętność gorzko się użalają". Radził udzielać wsparcia ich literaturze. Obiecywał przedłożyć (zapewne i przedłożył) osobny projekt, jakiemi środkami i drogami przesyłać pomoc wybitnym Słowianom. Dowiadujemy się, że nawet niewiele wymagał, gdyż żądał podniesienia udzielanego już zasiłku 10.000 rubli do 25 tysięcy rubli na „roczne pensye". Obiecywał to tak tajemniczo urządzić, że nie wzbudzi się najmniejszego podejrzenia. W innem miejscu dowiadujemy się, że te pensye były dość skromne, bo wynosiły 300 rb. rocznie. Prawda, że wówczas... życie było tanie, a i pensye wogóle były małe. Wszak nauczyciel szkoły powiatowej w Królestwie pobierał około 1850 r. 150 rubli pensyi! — Do misyonarzy późniejszych (1854,5) należał Gromeka, wysłany podczas wojny krymskiej dla porozumienia się ze Słowianami. Był we Lwowie, w wielkiej tajemnicy schodził się z galicyjskimi „Rosyanami", agitował wśród kleryków, całe noce spędzał na konferencyach. Wydano dla niego obiad, na którym wznoszono zdrowie cara Mikołaja. Relacyę z jego podróży ogłosiły „Oteczestwiennyja Zapiski" w r. 1859.

[1]) Zawiodły go miasta wschodnio-galicyjskie, [...] i chłopi z zachodu, którzy kilka mandatów dali [...] i szlachcie.

---

czewski. Ztąd wyruszyli podchorążowie w noc listopadową, tu Działyńczycy stoczyli główną walkę 17. kwietnia 1794, na tym placu odbywały się słynne rewie za Królestwa Kongresowego, tędy książę Józef szedł pod Raszyn... Oto kościółek na Woli, w którym legł Sowiński, oto dom Kilińskiego, oto szczątki wałów, które się opierały przez 2 miesiące prusakom... w tem miejscu stała reduta Ordona. Tu ruiny fundamentów kościoła Opatrzności, tu radziła Komisya Edukacyjna, tu kościół, co widział obchód rocznicy majowej, pogrzeby księcia Józefa i pięciu poległych...

A Łazienki i Wilanów? Na samo zwiedzenie ich wspaniałych pamiątek i zbiorów kilku dni potrzeba.

A nowe gmachy, instytucye, kościoły, pomniki, muzea, ogrody, szkoły, zakłady przemysłowe, zbiory prywatne? A Powązki, gdzie tyle drogich grobów?

I na zwiedzenie tego wszystkiego mają dwa lub trzy dni wystarczyć?

Nie, kochani bracia warszawianie — mylicie się bardzo grubo. „Sami nie wiecie, co posiadacie".

* * *

A jeżeli nie wiecie wy, to cóż dopiero mówić o tych, co Warszawę zwiedzają. Przejdą i przejadą się po ulicach, wstąpią do teatru, do cukierni i restauracyi, zajrzą do parków i ogrodów, spojrzą z mostu na Wisłę i wracają pewni, że poznali Warszawę.

I to również nie są żarty — i to, niestety, jest szczera prawda. Mam na to dowód świeży... prosto z igły.

Jeden z dzienników galicyjskich (nie chcąc go kompromitować, nie przytaczam tytułu), w początku września r. b. pomieścił artykuł p. t. „Wrażenia z wycieczki do Warszawy".

Autor artykułu słusznie twierdzi na wstępie, że „prawy Polak powinien poznać pierwej Gniezno, Poznań, Warszawę — niż obce miasta". Następnie stosunkowo dość szeroko opowiada wrażenia z podróży koleją od granicy, a wreszcie daje opis swych wrażeń z Warszawy. Posłuchajcie. Cytuję dosłownie, ani słowa nie dodając i nie opuszczając.

„Wysiadamy. Budynek dworca skromny, jak u nas w Przemyślu. Jest rzeczywiście ciżba przy wyjściu. Przed budynkiem mnóstwo fiakrów i posługaczy w czerwonych czapkach.

„Niespodzianie spotykam znajomego ze Lwowa, który osiadł w Warszawie. Ten wskazał mi hotel Saski. Znalazłem także znajomego słuchacza Politechniki, który mnie oprowadzał po Warszawie.

„Miasto w całem słowa znaczeniu piękne i czyste. Ogromna różnica między Lwowem, gdzie podczas deszczu błoto — a w dnie pogodne kurz nieznośny na ulicach.

„Piętno rosyjskie nadają miastu napisy na sklepach i ulicach, jako też czapki okrągłe, plackowate, niższej warstwy społeczeństwa warszawskiego, policyi i wojska. Inteligencya i kupcy noszą kapelusze, jak u nas.

„Umundurowanie wojska brzydkie. Spodnie ciemne, bluza krótka z szarego płótna, przepasana ciemnym rzemieniem, na głowie wielki placek z takiegoż płótna — co brudno wygląda. Oficerzy w popielatych płaszczach, ale ich szpecą czapki plackowate i kopystki krótkie w pochwach skórzanych przewieszone przez ramię zamiast szabli. Te szabelki noszą odwrotnie obłączkiem do góry a rękojeść na spód.

„Piękne są ogrody publiczne w Warszawie, osobliwie saski i łazienkowski, gdzie przechadza się mnóstwo ludzi i odpoczywa.

„Ulice są nadzwyczaj ożywione. Tramwaj elektryczny za tramwajem jedzie bardzo szybko.

„Także dorożki jakby urządzały wyścigi. Język polski panujący.

„Co mi się nie podoba w Warszawie — to dziwne zarządzenie, że kawiarnie i restauracye, zwane dziwacznie *bar*, cukiernie i sklepy otwierają rano dopiero o godz. 8-ej a zamykają wieczorem już o 8-ej.

„Być może, że to podczas stanu wojennego[...]

„Wisła między Warszawą i Pragą już [...] ogromną rzeką".

I już. Przyznacie chyba, że to *curiosum*. Ten pan nie nie widział w Warszawie prócz ogrodów, barów, tramwajów, szerokiej Wisły i okrągłych czapek rosyjskich, a głównie go zajęło umundurowanie wojska. A prawda, dostrzegł jeszcze, że inteligencya chodzi w kapeluszach. I z takich wrażeń publicznie się spowiada. Chciałoby się śmiać, gdyby to nie było bolesne. Można darować autorowi chodzącemu w kapeluszu (jako inteligent!), bo cóż biedak winien, że nic więcej zobaczyć nie umiał. Ale co usprawiedliwi dziennik, który takie wrażenia umieszcza? Czy nie daje on sobie *testimonium paupertatis?*

* * *

Wycieczka nasza przez pięć dni z rzędu, od 9-ej zrana co 6-tej po poł., z przerwą jedynie na posiłek, zwiedzała Warszawę, a choć ją oglądała „po łebkach", choć poświęcała godzinę temu, co przynajmniej kilku godzin wymagało, choć poprostu przelatywała Warszawę, nigdzie dłużej się nie zatrzymując, nie była przecież w możności obejrzeć „z wierzchu" nawet połowy starej i nowej Warszawy, połowy tego, co w niej widzieć warto i należy.

Gdybym miał szczegółowo wyliczać, gdzie wycieczka była i co widziała, musiałbym napisać... przewodnik po Warszawie. Poprzestanę więc tylko na krótkiem *itinerarium*.

Dzień pierwszy (23. września): Kościół św. Anny (dawniej Bernardynów), Katedra, całe Stare Miasto, kościoły Sakramentek, N. M. Panny i Dominikanów — Powązki. Ku wieczorowi przejażdżka parostatkiem po Wiśle dla zobaczenia panoramy Warszawy i Pragi od trzeciego mostu aż po skłony cytadeli. Podwieczorek na przystani wioślarskiej. Teatr Gawalewicza w Filharmonii.

Dzień drugi: Przechadzka po ulicach pełnych wspomnień, zwłaszcza kościuszkowskich (Miodowa,

ie wszędzie zostali w mniejszości. — Schmerling eszta działał nietylko we wschodniej Galicyi — siedzenia sejmowe wykazały, jak niesłychanej esyi i jakich nielegalności dopuszczali się urzędcy austryaccy przy wyborach wiejskich w polskich wiatach, jak szerzyli demagogię między ludem, k rozbudzali wśród niego najniższe instynkta, jak erzyli wśród niego nienawiść przeciw „panom" „Polakom". A lud to był również ciemny, nieświadomiony narodowo, — wszak znajdowali się wśród niego bohaterowie nieszczęsnego r. 1846.

Sejm zebrał się we Lwowie dnia 15 kwietnia 1861. Od razu zauważono na nabożeństwie w cerkwi uskiej, że włościanie ruscy mają swoich opiekunów — cała gromada tych opiekunów towarzyszyła im w pochodzie do izby sejmowej, w której zasiedli na prawicy pod wodzą kleru świętojurskiego. Marszałkiem sejmu mianowany został przez cesarza książę Leon Sapieha, jego zastępcą biskup sufragan Spirydyon Litwinowicz, jedna z głów partyi świętojurskiej.

Zaraz po otwarciu sejmu zabrał głos Adam Potocki, wzywając do złożenia uroczystej deklaracyi, że jakiekolwiekby nastąpiły zmiany, właściciele większych majętności pozostaną w tych samych do włościan stosunkach. Szło o zaprzeczenie rozsiewanym przez agitatorów rządowych wieściom, iż panowie myślą o powrocie do pańszczyzny. „Niech duchowieństwo zaświadczy (mówił Potocki) że już w r. 1843 zebrane w stanach obywatelstwo chciało znieść pańszczyznę!"[1]) W końcu żądał Potocki, aby wszyscy powstali na znak, że potwierdzają jego słowa, aby „uroczystem przyjęciem dać temu oświadczeniu znaczenie uchwały sejmowej!" Wszyscy wstali. ucznc oklaski pokryły słowa mówcy.

Kiedy się uciszyło, ks. Witwicki, rusin, zabrał głos w języku polskim. Mówił, że Rusini nie chcą rozdwojenia, że pragną jedności. „Rusin jest dobrym człowiekiem, kocha ojczyznę... nieporozumieniom winni są ci, co niesnaski rozsiewają" — winien i brak oświaty". Pojednanie jest naszym obowiązkiem, którego dopełnić przed Bogiem i dla potomstwa naszego jesteśmy winni". Był to jedyny głos ze strony Rusinów, w którym nie było dysonansu[2]).

Wprawdzie ks. Mogilnicki pod wrażeniem chwili mówił pojednawczo, ale parokrokrotnie powtarzał, że „na słowach polehaty nie możem!" Żądał czynów, a wtedy dopiero „wsich obywatelej obłohezajem czy Lach czy Rusyn". Otrzymał oklaski mimo bardzo niewyraźnych zastrzeżeń, bo skąd można było wiedzieć, jakich „czynów" mówca wymaga.

Przemawiający po nim Sanguszko postawił kwestyę jasno: jeżeli już w r. 1848 zrobiliśmy na rzecz włościan deklaracyę, to w zamian żądamy, aby włościanie odepchnęli obmowców i niegodziwców, którzy ich bałamucą, rzucają podłe oszczerstwa. „Wszak i teraz włościanie mieli rozkaz, aby się z nami nie porozumiewać". Słowa te wywołały szmer na ławach ruskich.

Litwinowicz czuł, że dyskusya może przyjąć niemiły obrót dla świętojurców, więc ją sprytnie przerwał uwagą, iż „niema miłości bez sprawiedliwości", poczem wezwał do podziękowania przedewszystkiem Bogu za usłyszane słowa miłości i do wzniesienia okrzyku: niech żyje Najjaśniejszy Pan! bo jemu się pośrednio zawdzięcza ta chwila uroczysta. Wykpił się od wypowiedzenia własnego zdania, przerwał niebezpieczną dyskusyę i zaznaczył lojalność Rusinów — przy jednym ogniu upiekł trzy pieczenie. Ale tego nie zrozumiano — owszem cieszono się z jego wystąpienia i z tego, że mówił po polsku.

Później po odczytaniu projektu adresu do cesarza, rusin ks. Pietruszkiewicz zauważył, że w adresie jest mowa o jednym narodzie, a są przecież dwa. Uwaga nie była zgodna z rzeczywistością, bo adres przemawiał jedynie w imieniu „reprezentantów kraju Galicyi i Krakowa" i wspominał o „wszystkich współrodakach" a nie o Polakach.

Natomiast jednogłośnie zgodzono się na wniosek ks. Witwickiego, aby adres napisany był w obu językach krajowych. Tę „powszechną zgodę" przyjęto oklaskami. Było to bądź co bądź ustępstwo, bo pomiędzy sejmującymi znajdowali się tacy, jak np. Leszek Borkowski, którzy stanowczo nie uznawali języka ruskiego, uważali go za narzecze.

Pierwszy zgrzyt odezwał się przy sprawie wyboru komisyi weryfikacyjnej. Poseł Borysikiewicz chciał, aby jej członków wybierał „lud sobi, a pany sobi", w czem go poparł Giniłewicz. „Jesteśmy reprezentantami jednego kraju" — odparł na to Borkowski — więc razem wybierać powinniśmy. Ale „jest tu nieliczne stronnictwo, co chce zamącić powszechną zgodę, mając wpływ na kolegów wieśniaków". Wszelkie usiłowania „noszące cechy poróżnienia kolegów z kolegami należy napiętnować hańbą i przekleństwem — każdy z nas z pogardą na nie spogląda".

Sejm nie uznał hasła: „pany sobi, lud sobi" lubo sposób głosowania był dla Polaków całkiem obojętny, tak czy owak bowiem w komisyi stanowiliby znaczną większość. Owszem, wybory kuryami dawały im olbrzymią przewagę. Ale szło o zasadę, o zbliżenie stanów i narodowości.

Skłonność do ustępstw wchodziła w program polskiej inteligencyi; postanowiono wszystko uczynić ze swej strony, aby łączyć, nie drażnić, aby doprowadzić do zgody. Słuchano spokojnie, kiedy włościanin ruski Zahorejko mówił, że „panowie szcze ne dały wsioho.. bo hde pasowyska, hde lisy" — a kiedy marszałek przerwał mówcy, posłowie prosili, aby mu dalej mówić było wolno i oklaskiwali go, kiedy powiedział, że jak lud to „wsio" otrzyma, „tohdy razem budemo"[1]).

Kiedy Rusini zażądali, aby protokoły były spisywane po polsku i po rusku, Ziemiałkowski poparł to żądanie przy hucznych oklaskach, a kiedy marszałek zarządził głosowanie „przez powstanie" — wszyscy posłowie z miejsc powstali, a protokół zaznaczył „okrzyk zgody i radości". Rusini później żądali, aby oba protokoły odczytywano — była to strata czasu, ale marszałek się na nią zgodził. Tylko Borkowski zapytał, coby było w Wiedniu, gdyby miano protokoły parlamentu czytać we wszystkich językach, a Adam Sapieha zauważył, że „ci panowie, co tak gorliwie twierdzą, że nie rozumieją polskich protokołów, u siebie w domu mówią po polsku" (huczne oklaski). Zaszło tu i zabawne „intermezzo". Chłop ruski Kowbasiuk oświadczył się za czytaniem obu protokołów „bo my ne wsio po ruski rozumijemo" (rzeczywiście ten język ruski, jakim świętojurcy pisali, był dla włościan Rusinów mniej

[1] Był to jeden z owych sejmów postulatowych, o których mówiono, że prosiły o to, czego nigdy nie otrzymywały, a dziękowały za to, o co nie prosiły.

[2]) Witwicki jeszcze i później przemawiał w duchu pojednawczym, lecz już po rusku — świętojurcy zmusili go wreszcie do złożenia mandatu sejmowego.

[1]) Sprawę służebności leśnych i pastwiskowych omawiał sejm szeroko. Uchwalił żądać od rządu jaknajspieszniejszego jej rozstrzygnięcia, a Wydziałowi krajowemu polecił, aby rozpoznał wszystkie wnioski w tej sprawie zgłoszone. Chciano nawet powołać do życia natychmiast odpowiednie „sądy polubowne", ale wykazano ich niepraktyczność. Zaznaczyć należy, że dyskusyi nie zamykano, pozwolono wszystkim się wygadać. Połowa chłopów polskich i ruskich głos zabierała. Słuchano ich uważnie i spokojnie choć mówili często nie „do rzeczy", choć rzucali takie np. zdania, że las jest własnością publiczną.

Senatorska, plac Krasińskich, Długa, Leszno i t. d.) Po drodze zwiedzanie kościołów Kapucynów i Reformatów, synagogi, kościoła kalwińskiego, ogrodu Krasińskich; obejrzenie z zewnątrz dawnego pałacu Krasińskich (Rzeczpospolitej) pałacu Paca, Prymasowskiego, Zamojskich (pałac błękitny), Banku polskiego, pałaców ministeryów Królestwa kongresowego, ratusza, teatru wielkiego i t. d. Ogród saski Park łazienkowski, pałac łazienkowski i „domek biały" (wewnątrz) — Zamek (wewnątrz). Wieczorem teatry Letni, Nowy i Nowości.

Dzień trzeci: kościoły — Karmelitów, Wizytek, Ś-go Krzyża. Uniwersytet (zewnątrz), zbiory Muzeum przemysłu i rolnictwa, pałac ordynatów Krasińskich (pamiątki po Zyg. Krasińskim, galerya, gobeliny, zbrojownia, biblioteka). Po południu Wilanów (park, kościół, wnętrze pałacu). Z powrotem ogród botaniczny, park ujazdowski. Wieczorem teatry.

Dzień czwarty: Rano zwiedzanie Woli i Pragi Po południu udział w pogrzebie Deotymy (złożyliśmy wieniec z napisem: „Deotymie — Straż Polska"). Wieczorem przechadzka po głównych ulicach Warszawy.

Dzień piąty (niedziela): Rano kościoły, w południe przyjęcie u cyklistów na Dynasach. Ulewny deszcz przeszkodził wycieczce do Jabłonny (pałac ks Józefa) do której zaprosiła nas hr. Potocka. Zamiast tej wycieczki zwiedziliśmy prześliczne zbiory artystyczne p. Wandalina Strzałeckiego (galerya, zbrojownia, porcelana, meble i t. d.) i wnętrze pałacu Potockich (wspaniałe stylowe sale, dzieła sztuki, „Kazanie Skargi" Matejki).

W tym krótkim spisie nie było miejsca na wyliczanie całych setek miejsc pamiątkowych, budowli, pomników, przy których przewodnicy członków wycieczki zatrzymywali. O niektórych wspomniałem powyżej, wyliczając ogólnikowo, bezładnie, co posiada w swych murach Warszawa.

A czego nie widzieliśmy? I tu spis byłby bardzo długi. Dla znających Warszawę dość powiedzieć, że przez najruchliwszą, najdłuższą i jedną z najpiękniejszych ulicę Marszałkowską tylko przejeżdżaliśmy, że nie byliśmy całkiem w tak żywo przypominających „ringi" wiedeńskie Alejach Jerozolimskich, że wiele innych pięknych ulic, jak Foksal, Włodzimierska wraz z całą najnowszą Warszawą (Aleja róż, Chopina, Piękna, Sadowa, Koszykowa i t. d.) pozostały nam nieznane. Nie zwiedziliśmy koło 20 kościołów, a między nimi takich, jak św. Aleksandra, Karola Boromeusza, Wszystkich Świętych, św. Piotra i Pawła, kościoła ewangelickiego i t. d., któremi chlubi się Warszawa. Nie byliśmy w galeryi starych mistrzów, w Towarzystwie Sztuk Pięknych, ani w zbiorach archeologicznych Choynowskiego, ani w Muzeum przedhistorycznem Majewskiego, ani w zbiorach Tow. krajoznawczego, ani w „salonach" i „wystawach" prywatnych, których tak pełno w Warszawie. Nie oglądaliśmy popiersi królów w dawnym pałacu Załuskich, nie zwiedzaliśmy sali ratuszowej, wnętrza pałacu Rzeczpospolitej, pałacu Paca, pałacu Zamojskich i t. d. Nie byliśmy w bibliotece głównej, galeryi odlewów, w bogatym gabinecie zoologicznym. Politechnice nie przypatrzyliśmy się nawet zdaleka. Marienstadtów, Tamek, Solców, całego wogóle Powiśla — nie tknęliśmy. O Frascati, Dolinie Szwajcarskiej, Królikarni i t. d. mowy nawet nie było. Zwiedzeniu Jabłonny, jak już zaznaczyłem, przeszkodziła nam ulewa, a Bielany z grobem Staszica nie zmieściły się w programie. Jak wyglądają warszawskie szpitale, hale targowe, giełda, stacya filtrów i t. d., uczestnicy wycieczki nie mają pojęcia. I tak dalej, i tak dalej.

Poprostu czasu nie było.

Słowem: chcąc Warszawę zwiedzić powierzchownie, potrzeba co najmniej dni dziesięciu, a chcąc ją zwiedzić dobrze, i miesiąc czasu może nie wystarczy!

A wy kochani warszawiacy, twierdzicie, że w kilka dni sprawa skończona.

Dlaczego tak mówicie? Oto dlatego, że sami nie znacie Warszawy. Nie mówię oczywiście o was wszystkich, ale o olbrzymiej większości. Znacie dzisiejszą, nie znacie dawnej. Może się założymy n. p., że zaledwie co dziesiąty inteligentny warszawiak był w zamku królewskim? Ba! w gronie „urodzonych" warszawiaków spotkałem się z żalem, że nie przyłączyli się do wycieczki, aby poznać to lub owo, a między innemi... wnętrze pałacu Łazienkowskiego.

Stąd wniosek, kochani bracia warszawiacy i siostry warszawianki: zróbcie... wycieczkę do Warszawy. Zaręczam wam, że odniesiecie bardzo miłe i podniosłe wrażenie, choć nie doznacie tylu dowodów gościnności, jakich my doznaliśmy. Ujrzycie dużo rzeczy godnych widzenia, lub westchnienia.

Kraków ma wielkie zabytki, ale gdybyśmy z niego usunęli kilka wielkich grobów, przybyłych w wieku XIX tym, i wspomnienie przysięgi na rynku, złożonej przez Kościuszkę, to mury jego i pomniki przeważnie tylko dumą przejmować nas mogą. Są to zabytki chwały i potęgi, jest to drogi skarbiec klejnotów państwowych. Patrzymy na nie z tem uczuciem, z jakiem potomek hetmański spogląda na zbroje i szablice swych pradziadów. Ale jeżeli ten potomek ma serce, to droższy mu będzie skromny medaljonik matki, jaki wzięła z sobą, kiedy towarzyszyła jego ojcu na wygnanie, droższy mu będzie mundur ułański jego dziada, poległego pod Grochowem... Otóż czem dla jednostki są pamiątki i wspomnienia rodzinne, tem dla społeczeństwa są pamiątki i wspomnienia narodowe. Im bliższe, tem droższe, im boleśniejsze, tem więcej ukochane. A tych pamiątek i wspomnień narodowych (nie państwowych) ma Warszawa więcej, niż wszystkie miasta polskie. Nie pochodzą one z czasów wielkich królów i wielkich hetmanów, z czasów, kiedy miecz rozszerzał granice państwa, ale z tych czasów, kiedy sam naród ujął w dłonie swe losy i walczył o każdą piędź ziemi, o każdy strzępek praw swoich..

zrozumiały niż polski). Wyrwanie się Kowbasiuka poszło nie w smak prowodyrom, dostał więc „wygowor“ i przy sposobności za innym razem poprawił się: „my ne rozumijemo... po polski“.

Rusini po raz drugi próbowali odłączyć „panów od chłopów“ przy wyborach komisyi do wniosków. Ksiądz Pawlikow oświadczył: „powinniśmy buty na riwni postawłeni a uważajut nas za tretynu“ (trzecią część — aluzya, że do każdej komisyi wybierano dwie trzecie Polaków, a jedną trzecią Rusinów). Gdzież-konsekwencya, pytał Zyblikiewicz — wszak przy wyborach kuryami i tej „tretyny“ byście nie mieli? I rzeczywiście przy kuryalnych wyborach Rusini mogli mieć w każdej komisyi zaledwie piątą część swych członków. Nie szło więc prowodyrom o rzecz, ale o rozdział, o drażnienie.

Najwybitniej dwie polityki, polska i świętojurska, zaznaczyły się przy sprawdzaniu wyborów. Pomimo dowodów presyi, nielegalności, fałszowania kart wyborczych, niedostarczania ich prawyborcom a obdarzania nimi tych, co prawa głosu nie posiadali, pomimo, że często unieważnienie kilku głosów, a nawet jednego wybór mogłoby obalić, sejm zatwierdził wszystkich posłów wybranych przez Rusinów, nawet tych, przeciw którym posypały się liczne protesty, — z wyjątkiem tylko jednego. A tym jednym był emerytowany dyrektor lwowskiej policyi Joachim Chomiński, zbrodniarz, który w roku 1846 podczas rzezi galicyjskiej odegrał haniebną rolę. Tu komisya weryfikacyjna skorzystała z nielegalności i zażądała unieważnienia wyboru. Ale w obronie rezunia Chomińskiego powstał rusin Borysikiewicz. Był to według niego „muż czestnyj, urjaduik zasłużenyj, bo kto śmije jemu szczo zakinuty“ (zarzucić). Ba! drugi obrońca, ksiądz Mogilnicki, porzucił zasadę mówienia po rusku, aby od „braci Mazurów i Krakowiaków był zrozumiany“ (szło mu o polskich chłopów, między którymi Rusini podczas całego sejmu agitowali, przedstawiając „panow“ jako wspólnych wrogów i buntowników przeciw cesarzowi). Mówił gorąco „w imię sprawiedliwości (?) i miłości bliźniego“, błagał o zatwierdzenie „czestnobo muża“. Tym razem owe „słowa miłości“ padły na grunt nieurodzajny — nie pomogła i sztuczna interpretacya ustawy przez przedstawiciela rządu, Moscha, na korzyść zasłużonego państwu urzędnika...

Podobnie zachowali się Rusini przy weryfikacyi wyboru Siwca, byłego żołnierza austryackiego, który później był nikczemnem narzędziem austryackiej biurokracyi, wichrzycielem demagogicznym w najgorszym gatunku. To też biurokracya przeprowadziła go w Żywieckiem. Akta jego wyboru to gotowy akt oskarżenia rządów schmerlingowskich. Pokazało się, że Siwiec nie był wyborcą, ale został przez komisarza rządowego wpisany na listę jako „entschiedener Gegner des Adels und der Umsturzpartei“ (stanowczy przeciwnik szlachty i stronnictwa rewolucyjnego) — sam on pisał, że jest „wahrhaft österreichischer Patriot“. Borysikiewicz i jego bronił z zapałem i to znów w imię sprawiedliwości (!)

Przy sprawdzaniu wyborów wyszły na jaw niezdrowe agitacye księży ruskich. „Z najświętszych rzeczy (słowa Ziemiałkowskiego) zrobiono narzędzie niecnych celów świeckich, kościoły (cerkwie) stały się arenami wyborczemi, z ambony uczyniono trybunę do szerzenia zasad komunistycznych, nadużywano charakteru kapłańskiego, powagi monarchy...“ Przytaczam tę charakterystykę, nie wchodząc w szczegóły.

Wyszło też na jaw, iż rząd udzielił zapomogi na podróż wielu posłom na sejm się udającym — oprócz kilku chłopów polskich (między nimi Siwca) otrzymali „zaliczki“ prawie wszyscy Rusini. Należało się to im za ich lojalność. Wszak jeden z nich sprawę służebności chciał oddać w ręce „naszibo cisara“ boć on „nasz tato“ — „my Rusyny budem Jemu wirno służyty i pid orła Jego letyty“.

Jeszcze jedna „taktyka“ świętojurców: nawet w przemówieniach sejmowych gdzie mogli tam podburzali namiętności. Taki np. ksiądz Pawlikow oświadczył, iż panowie o chłopie mówią: to zwir, to zmyja (żmija)...

Sejm radził krótko, odbył zaledwie dziewięć posiedzeń, bo mało czasu, zaledwie jedenaście dni, przeznaczono mu na obrady. Sprawy formalne, wybór licznych komisyi, dyskusya o służebnościach i weryfikacya wyborów zabrały mu pierwsze siedm posiedzeń, a tu na dwu ostatnich trzeba było wysłuchać umotywowania kilku ważnych wniosków, przeprowadzić dyskusyę nad wyborem delegatów do Rady Państwa (była silna przeciw temu opozycya — chciano zamanifestować rozczarowanie, jakie przyniosła konstytucya schmerlingowska) i wreszcie przeprowadzić te wybory. Schmerling umyślnie taki krótki czas wyznaczył, aby sejm nie mógł przystąpić do płodnej pracy. 29 kwietnia już zbierała się Rada Państwa, więc sejmy musiały być przed tym terminem zamknięte.

Wskutek tego Sejm musiał poprzestać na wezwaniu Wydziału krajowego, aby na przyszłym sejmie podał projekt do ustawy w celu zastąpienia języka niemieckiego w szkołach, administracyi i sądownictwie językiem polskim i ruskim. Wśród innych wniosków, odesłanych do Wydziału krajowego, był samoistny wniosek A. Sapiehy, tyczący się również uznania praw języka ruskiego. Rusini zdobyli się tylko na wniosek o... czytanie protokołów ruskich.

Przy wyborach delegacyi do Rady Państwa pojednawczość Polaków silnie się zamanifestowała. Według ustawy wybierano wprawdzie kuryami i obwodami, ale głosowali wszyscy na wszystkich. Tak więc choć z pewnej kuryi i pewnego obwodu mogli być wybrani tylko ci, którzy z tej kuryi i tego obwodu wyszli, ale od ogółu posłów zależało, kogo z nich zechcą obdarzyć mandatem. Z obwodów zatem czysto ruskich mogli Polacy wybrać tych, którzy im najlepiej odpowiadali. Pomimo to jednak z góry oświadczyli Litwinowiczowi, że będą głosowali na tych kandydatów, jakich podadzą sami Rusini — i słowa swego dotrzymali. Rusini nie odwdzięczyli się im wzajemnością: głosowali jak chcieli. Co więcej, Polacy z kuryi wielkiej własności, której byli zupełnymi panami, wybrali ks. Dobrzańskiego, uchodzącego za „ugodowca“ (później przezwał się Dobrjańskim) i biskupa Litwinowicza, choć ten nie należał do wybranych przez wielką własność, gdyż był posłem sejmowym na mocy jedynie swego urzędu biskupiego (głos wirylny). Tak więc z miłości do Rusinów, dla zjednania sobie ich przywódcy, popełniono nawet zdaje się nielegalność.

Dziwne bowiem było zaślepienie sejmujących, a nawet ogółu. Wierzono w to, że świętojurcy przyjmą rękę podaną do zgody. Pomiędzy posłami było kilku, którzy ostrzegali przed zdradą (Grocholski, Ziemiałkowski, Borkowski), ale nie słuchano ich głosów przestrogi. Spokojne na pozór zachowanie się świętojurców w sejmie brano za dobrą monetę — nie dostrzegano, a raczej nie chciano dostrzegać, że z musu, pod wrażeniem deklaracyi Potockiego i ustępstw polskich, nie wystąpili oni odrazu zbyt wojowniczo, że to była poprostu ich taktyka.

Dziś, spokojnie czytając sprawozdania sejmowe, objektywnie patrząc na dyskusye, widzi się, jak zręcznie odgrywano komedyę. Rusini rzucali czasem frazesem o zgodzie, ale z ich strony nic nie uczyniono, aby owe słowa poprzeć czynami, jak tego się sami tak głośno od Polaków domagali. A zgrzytów.

Wspomniałem o gościnności, jakiej doznaliśmy w Warszawie. Zanotować wszystkich jej objawów nie sposób. Poprzestanę na kilku przykładach. Już na dworcu powitali nas przedstawiciele prasy i instytucyi towarzyskich. Pobyt u wioślarzy i cyklistów pozostawił najprzyjemniejsze wspomnienie: goszczono nas serdecznie, po staropolsku. Członkowie redakcyi *Kuryera Warszawskiego* byli stałymi naszymi przewodnikami — wyjednali oni nam wielkie ułatwienia, udogodnienia. Ofiarowano nam bezpłatnie: miejsca w teatrach (przez trzy dni), osobny wagon do Wilanowa, bilety tramwajowe, powozy do Łazienek, przejażdżkę parostatkiem, wstęp do Muzeum przemysłu i rolnictwa itd. Odmykały się przed nami prywatne pałace i zbiory.

Przeważna w tem zasługa redakcyi *Kuryera Warszawskiego*, która uprzejmie podjęła się obowiązków gospodarza i pośrednika.

Wszystkie dzienniki podawały sprawozdania z naszej wycieczki — niektóre wprowadziły stałą rubrykę p. t. „Goście z Galicyi“, lub „Galicyjska Straż w Warszawie“.

Że zrozumiano, jaka myśl przewodniczyła urządzeniu wycieczki, dowód nietylko w artykule p. Zdzisława Dębickiego. W każdym prawie dzienniku zaznaczono to z mniejszym lub większym naciskiem. *Dziennik Powszechny* oprócz artykuliku „Witajcie!“ zamieścił drugi p. t. „Poznajmy się, kochajmy się“. Przytaczam z niego główny ustęp:

„Nietylko podtrzymywać uczucie i nawiązywać stosunki serdeczne powinniśmy z Galicyą, ale przedewszystkiem należy się poznać wzajemnie. Ani nam, ani im nie wolno grzeszyć ignorancyą pod tym względem. A nie chodzi tu wcale o to poznanie zdawkowe, o wymianę grzecznostek i czułostek, lecz chodzi o zdobycie dokładnych wiadomości, dotyczących życia i prac dzieci jednej ziemi.

„Na tym punkcie grzechy są wspólne. U nas najopaczniejsze panują pojęcia o Galicyi i galicyanach, przeciętny też warszawiak, który sam nie opływa wcale w dostatki, zwykł z przekąsem, a nawet z wyraźnem lekceważeniem traktować braci galicyjskich i uważać ich za niedołęgów, którzy nie umieją wykorzystać szczęśliwego położenia swojego, którzy są typowymi „nędzarzami“ i „szwarcgelberami“. O tem, że szkolnictwo osiągnęło tam tak wysoki stopień doskonałości, o tem, że przemysł się wzmaga i wogóle na każdym kroku, zwłaszcza w gospodarstwie rolnem, robią się ogromne postępy — o tem się nie mówi, jak nie docenia się znaczenia Krakowa dla nauki polskiej.

„Z drugiej strony za lekceważenie odpłacają galicyanie również lekceważeniem, uważając braci z Królestwa Polskiego za ludzi lekkomyślnych, a nawet bezmyślnych, którzy nic nie robią, tylko flirtują i bawią się rozkosznie.

„Dopiero gdy poznamy się dobrze, dopiero wtedy nauczymy się cenić wzajemnie i — kochać szczerze“.

Dziwnem natomiast niezrozumieniem celów wycieczki odznaczyły się pisma galicyjskie, z jednym zaledwie wyjątkiem. Poprzestały one na podaniu pięciowierszowej wzmianki o przybyciu naszej wycieczki do Warszawy. Wobec tego drugą wycieczkę przyjdzie chyba urządzić w połączeniu z matchem footbalowym galicyjsko-warszawskim. Wtedy naoścież otworzą się szpalty naszych organów opinii, „trzymających rękę na pulsie życia społecznego“.

* * *

Wycieczka nasza opuściła Warszawę 28. września. „Na stacyi — pisał *Goniec wieczorny*“ — pożegnanie było bardzo serdeczne. Nawet obojętni pasażerowie, gdy dowiedzieli się, że wyjeżdżają członkowie wycieczki „Straży“ owacyjnie ich żegnali. A goście opuszczali Warszawę z żalem, w gorących słowach dziękując za gościnne przyjęcie“.

Wycieczka z powrotem zatrzymała się na jeden dzień w Częstochowie. I tam grono obywateli upewniło się przedtem o terminie jej przyjazdu, aby ją serdecznie powitać i oprowadzić po Jasnej Górze.

* * *

Wycieczka nasza, jeszcze przed wyruszeniem z Krakowa, otrzymała kilka uprzejmych listów od osób, które się łaskawie ofiarowały być jej przewodnikami przy zwiedzaniu fabryk i zakładów przemysłowych. Nie korzystaliśmy z ich uprzejmości, bo mieliśmy zaledwie 5 dni czasu a te, jak chyba dowiodłem, nie wystarczyły nawet na powierzchowne zwiedzenie Warszawy.

Do komitetu wycieczki naszej zgłosiło się też, w ostatnich dniach przed wyjazdem, kilku włościan z zapytaniem: czyby nie można jej odłożyć, gdyż większe ich grono pragnęłoby wziąć w niej udział z zastrzeżeniem zwiedzenia gospodarstw wzorowych? Z przykrością odpowiedzieliśmy odmownie, gdyż termin był już oznaczony, program ułożony, koszta obliczone na inne sfery, porozumienie się co do szczegółów przeprowadzone...

Otrzymaliśmy wreszcie na miejscu w Warszawie łaskawą propozycyę zwiedzenia kilku zakładów szkolnych. Znowu z braku czasu korzystać z tych dobrych dla nas chęci nie mogliśmy.

Ale wszystkie te trzy propozycye dowodzą, że oprócz ogólnych wycieczek dla zwiedzenia Warszawy i jej pamiątek, należy urządzać wycieczki specyalne, z osobnym programem.

Mogą i muszą się one udać przy dobrej woli inicyatorów, uczestników i.. gospodarzy. W imieniu „Straży Polskiej“ zaręczyć mogę, że nie pożałuje ona trudu, aby je do skutku doprowadzić.

K. Bartoszewicz

[n]iedomówień, nie brakowało — część ich przytoczyłem.

W zgodę wierzyło i dziennikarstwo polskie. Umyślnie pokrywało milczeniem „zgrzyty“, a każdy (tak rzadki) czuły frazes podnosiło. Było to tem dziwniejsze, że podczas wyborów do sejmu korespondencye z prowincyi aż nadto przytaczały faktów nie przebierającej w nikczemnych środkach agitacyi świętojurców. Była to orgia nienawiści, w niczem nie ustępująca temu, na co patrzyliśmy w czasach ostatnich. Księża zamykali wyborców w cerkwiach, terroryzowali ich, padali na ziemię i całując ją wołali, że Lachy wydarli ziemię, Lachy pozabierali „lisy i pasowyska“, Lachy jeździli do Wiednia (mowa o styczniowej delegacyi), aby prosić cesarza o przywrócenie pańszczyzny. Odbierano przysięgę od chłopów, że będą głosować na kandydatów świętojurskich, odczytywano im sfałszowane listy biskupie a nawet cesarskie.. Zapewniano ich, że „jak bude Polszcz . to szczo sto krokiw bude szubynycia“.

A jednak łudzono się. Ale bardzo krótko. Wybrany i okadzany przez Polaków Litwinowicz pokazał natychmiast swą *fides graeca*.

W chwili zamknięcia sejmu zebrało się u Włodzimierza Dzieduszyckiego kilku wybitnych przywódców polskich, aby zawrzeć pakt z Litwinowiczem. Tłumaczyli mu, że jeżeli na miejscu w sejmie mogą zachodzić różnice między Polakami i Rusinami, to w Wiedniu ich być nie powinno. Wszystkim delegatom galicyjskim musi zarówno leżeć na sercu uzyskanie dla kraju najszerszego samorządu — wszyscy muszą zatem stać po stronie federalistów i walczyć przeciw zachciankom centralistycznym. Rzecz była jasna, przyznawał ją w pełni Litwinowicz. Więc zgodzono się na zgodę, postanowiono też, aby Polacy z Rusinami zajęli w Radzie Państwa miejsce obok siebie. Co więcej, aby dać dowód dobrej woli, Polacy oświadczyli, że nie pojadą do Wiednia przed Rusinami, u których właśnie przypadały święta wielkanocne. Miano więc razem pojechać dopiero między 7 a 9 maja. Litwinowicz wdzięcznie przyjął to ustępstwo.

I rzeczywiście Polacy wstrzymali swój wyjazd, ale Rusini z Litwinowiczem stanęli już na 1 maja w Wiedniu. Kiedy szło w Radzie Państwa o wybranie komisyi adresowej (do tronu) i zwrócono uwagę, że należałoby zaczekać na Polaków, którzy w wschodniej Galicyi obchodzą teraz święta wielkanocne, Litwinowicz zabrał głos i oświadczył, że „święta wielkanocne nie mogły być nikomu przeszkodą do przybycia i zajęcia się obowiązkami w Radzie Państwa“. Wybrano więc komitet ze wszystkich narodowości, pomijając jedynie nieobecnych Polaków.

Naturalnie Rusini wybrali sobie miejsca wśród centralistów, zdala od miejsc Polakom przeznaczonych.

Otworzyły się wszystkim oczy, ale zapóźno. Rusini z Litwinowiczem na czele stali się podporą Schmerlinga i centralistów. Głosowali przeciw wszystkim wnioskom, stawianym w duchu federalistycznym. Zajęli wręcz nieprzyjazne stanowisko względem Polaków i autonomii galicyjskiej. Sam Litwinowicz „podpisał program tak zwanych unionistów, to jest posłów, którzy nie dążyli do autonomii prowincyi... Ostro i głośno mówił przeciw Polsce. Zostawszy radcą sekcyjnym w ministerstwie oświecenia, językowi polskiemu zadawał ciosy!“ [1]) Spadały za to na niego nagrody: mianowany został wiceprezydentem Rady Państwa a po śmierci Jachimowicza został metropolitą, choć biskup przemyski starszy był godnością pasterską, i choć zwykle biskupi przemyscy otrzymywali opróżnioną katedrę lwowską... (jeden po drugim: Angiełłowicz, Lewicki i Jachimowicz).

* * *

Widzimy więc z tego, że i w początkach ery konstytucyjnej mamy czyste sumienie w stosunku do Rusinów. Z entuzyazmem wyciągaliśmy ku nim rękę jako „równi do równych“, a w pierwszym sejmie wszystko robiliśmy ze swej strony, aby iść z nimi zgodnie, aby słusznym ich życzeniom zadość uczynić. Spotkaliśmy się z niewdzięcznością i zdradą. Następne dyskusye sejmowe i obrady Rady Państwa powiększyły przepaść, powstałą nie z naszej winy [2]). A przecież wszystko to, co mają Rusini w Galicyi, zawdzięczają tylko polityce polskiej: myśmy walczyli i wywalczyli autonomię dla obu narodowości, my uzyskaliśmy równe prawa dla obu języków krajowych. Rusini w tej walce udziału nie brali — zawsze stali wiernie przy boku centralistów.

Kazimierz Bartoszewicz.

[1]) J. Bartoszewicz, Encyklopedya Orgelbranda XVII, 213.

[2]) Ciekawi szczegółów z lat 1862—1866 znajdą je w mojej rozprawie: „Z walki o autonomię“, drukowanej w „Bibliotece Warszawskiej“ 1906 II.

Gniazdo Orłów.

Niech będzie twoja pierś hartowna mocą,
Jak twardy, zimny mur obronnych miast,
Gdzie niepodobny jest najeźdźców wjazd,
Bo się tarany ich o mur druzgocą!

Niech będzie, jako szczyt, gdzie żaden chwast
Nie rośnie, gdzie lśni kwarc, żyłki się złocą
Mikowe... górnie tak, że aż sieroco...
...Jako szczyt, co się wzniósł w kraj wichrów, gwiazd —

Z twego zaś serca zrób... zrób jedno z gniazd
Orłom, wygnanym z gniazd, Orłom o piórach
Białych... Te Orły gość, w piersiach, na górach!

I niech się lęgną tam białe Orlęta —
W ciszy. Jak górski grzbiet, pierś nieugięta
Ma być, by nie mógł wróg uszkodzić gniazd.

Kazimierz Lubecki.

Ukochane Muzy nasze...

II.

Panna Blaga.

Prezes „Straży Polskiej“ (a mąż to potężny i groźny) rzekł rozkazująco do mnie:

— Ponieważ na naszej „Straży“ przekonaliśmy się dostatecznie co znaczy ogień słomiany, więc musimy, choć z przykrością, użyć jeszcze jednego środka. Pójdziesz pan do panny Blagi, przedstawisz jej naszą pracę i cel i będziesz ją prosił o współdziałanie z nami, o popieranie nie nas, ale zamiarów naszych, o ratowanie społeczeństwa naszego od grożącej mu ruiny i nieszczęścia. Kobieta to podobno dobrej woli, wpływowa i chętna. Zrozumiano?

— Do usług pana prezesa dobrodzieja...

*

Na drugi dzień zadzwoniłem do jej mieszkania. Otworzył mi ładny, tłuściutki lokaj...

— Czy pani w domu? Przyjmuje?

— Owszem, ale dzisiaj przyjmuje tylko jako pani kupcowa...

— Właśnie w takich sprawach przychodzę..

— Proszę za mną!

Panna Blaga przyjęła mnie nad wyraz grzecznie i serdecznie. A ładna szelma. Oczy ma florenckie, czoło neapolitańskie, usta mediolańskie, a uśmiech (ach ten uśmiech) padewski!

— Jaki pan dobry, jaki kochany, że do mnie zajrzał. Proszę siadać mój złoty, czem mogę służyć...

— Łaskawa pani, dostojna pani dobrodziejko... Ja bardzo przepraszam, ale mam taką ważną sprawę do omówienia, że aż się wstydzę...

— Ale mów pan, kochany panie... Taki ładny i wstydzi się...

Zarumieniłem się rozkosznie...

— Bo ja, proszę pani kupcowej dobrodziejki, ja ...ze „Straży Polskiej“...

— Ach, Boże kochany! Jak to dobrze! Już słyszałam o niej. Panie, aż serce rośnie, gdy się widzi, że są u nas ludzie, którzy jeszcze dla naszego biednego społeczeństwa tak ochotnie a bezinteresownie pracują.. Panie złoty, czem mogę służyć? Ja tak chcę przyjść z pomocą temu dzielnemu stowarzyszeniu i naszej biednej ojczyźnie... (Tu westchnęła bardzo, bardzo żałośnie!)

— Właśnie, właśnie, łaskawa pani dobrodziejko! My też na panią tak bardzo tak strasznie liczymy. Pani kupcowa ma pod swoją opieką wszystkie nasze sklepy, kieruje i rządzi całym naszym ruchem handlowym... Jej głos, jej postanowienie o wszystkiem, zawsze i wszędzie stanowi!! Dlatego też śmiemy prosić, by pani kupcowa była łaskawa kazać i u siebie i u drugich bojkotować towar pruski, a sprowadzać i popierać tylko wyroby krajowe, nasze, polskie wyroby kraj we...

— Ależ naturalnie! — zerwała się żywo! — W tej chwili to zarządzę. Że mi też to do tej pory na myśl nie przyszło! Taż to obrzydne, wstrętne, to skandal, że my z Prus sprowadzamy! Z pewnością teraz wyrzucimy towar niemiecki za drzwi!... Ach, panie, co to za rozkosz, że my możemy tak się dać Prusakom we znaki, za ich podłe, okrutne prześladowanie... Panie! — mówiła dalej szybko, a głos jej łamał się pod brzemieniem połykanych łez — przecież my kupcy to Polacy, z krwi i kości Polacy, my tylko dla Polski żyjemy i pracujemy!!... W tej chwili zarządzę wszystko. Franz! — krzyknęła.

Wszedł lokaj.

— Franz! Weź pióro i pisz: „Panowie rajzenderzy z Prus niech się nawet do nas nie ważą zachodzić!“ — Zanieś to do drukarni, wydrukować w setkach egzemplarzy, w każdym sklepie za oknem wystawić!

— Panie — rzekła, zwracając się do mnie — od tej pory, o ile się da, stanowczo żadnego pruskiego towaru u nas nie będzie, a jeśli jeszcze gdzieś coś leży, sprzedawać go nie będziemy! Polski towar, polski wyrób, to nasze hasło! A dzięki Panience Częstochowskiej mamy go podostatkiem.. Rzecz załatwiona! Ja wiem, że my kupcy to potęga, ale też potężnie damy się Prusom we znaki!

Ucałowałem z czcią, nie, z miłością rączyny pani kupcowej, wyszedłem z salonu (a bogaty, a wspaniały!) oszołomiony szczęściem i radością.

W przedpokoju z radości dałem lokajowi koronę (ostatnią koronę na obiad przeznaczoną!) i jeszcze go prosiłem:

— Mój Franz łaskawy. Przypominaj pani, co przyrzekła!..

— To się wie! Jam jej lokaj, ona na mnie polega..

Wyleciałem na ulicę, jak waryat opętany, nie spostrzegając nawet, że jakieś dwie małpy, po niemiecku szwargocące, z walizkami w rękach gramoliły się na schody .

*

Panna Blaga udawała oburzoną.

— Jakto panowie rajzendery? Chcecie, abyśmy brali u was towary, czynili zamówienia, a wy za to nas wywłaszczacie, dzieci za polski pacierz bijecie?

— Czy to my, pani kupcowo? My biedne ubogie fabrykanty na to się gniewamy, my za to na rząd klniemy, my przyjaciele Polaków...

— A coście przynieśli nowego? — pyta udobruchana panna Blaga.

Tu próbki sukna, tu wyroby toaletowe, tu prospekta na maszyny do pisania...

— Ach, Boże, — skrzywiła się panna Blaga — kiedy te maszyny mają godło „Adler“.

— To nic pani kupcowo, my każemy na nich wymalować polskiego orła i maszynę nazwiemy „Orzeł“.

— Ach! — klasnęła w dłonie panna Blaga — doskonale, pyszna myśl!

Poczyniła moc zamówień, zapłaciła banknotami za dawne, pogwarzyła z rajzenderami po przyjacielsku, napiła się z nimi pysznego wina — na odchodnem tylko rzekła:

— Przychodźcie jednak zawsze do nas tylnemi schodami, bo na froncie będzie wisiała kartka z ogłoszeniem, że was nie chcemy...

Rejsendery uścisnęli rączkę pani kupcowej.

— Pani kupcowa to myśli za nas i za siebie! Mądra głowa, złota głowa!... Adieu! Za tydzień będziemy znowu...

Odeszli... Wnet Franz przyniósł wydrukowane ogłoszenia na rajzenderów...

— A co — mówiła do Franza — ładnie wydrukowane! No, któż zaprzeczy, że my kupcy nie kochamy ojczyzny?? Mają przecież widomy znak... Przylep to na drzwiach frontowych... A jak ci panowie z Prus przyjadą, wprowadź ich do mnie przez kuchnię..

— Już mi o tem mówili — uśmiechnął się Franz. — A grzeczni ludzie, dali mi po pięć koron.

— Roześlesz jeszcze Franz zaproszenia do mych kolegów na odczyt, który wygłoszę o konieczności bojkotowania pruskich towarów przez nas kupców-Polaków!!!

*

Nazajutrz, uszczęśliwiony tak pomyślną wczorajszą audyencyą u panny Blagi, poleciałem do niej znowu..

Otwiera mi drzwi lokaj inny, chudy, żółty na twarzy, z piórem wetkniętem za ucho.

— Czy zastałem pannę Blagę? Czy przyjmuje?

— Dzisiaj przyjmuje tylko jako redaktorka. Właśnie jest w biurze redakcyjnem.

Zawróciłem do biura. Panna Blaga przyjęła mię serdecznie, ujmująco. Jaka ona śliczna, jak ona codzień ładniej i słodziej wygląda. Dziś miała spojrzenie sieneńskie, uśmiech genueński, wyraz twarzy watykański, a na sobie czarny surdut — berliński..

— Jakże się pan miewa, kochany panie... Czem mogę służyć?

Posadziła mię na kanapce, poczęstowała wonnym papierosem..

— Kiedy doprawdy — zacząłem nieśmiało — tak się wstydzę, że się tak ciągle naprzykrzam...

— Ależ proszę, proszę pana, ja dla pana zrobię wszystko... Czy chce pan drukować jakiś fejletonik...

— Nie, pani redaktorowo... Ja jestem ze „Straży polskiej“...

— Ach, jak to dobrze, jak to pysznie! Wiem, już wiem o niej! Jak my się tu cieszymy, że takie stowarzyszenie powstało! Panie, ależ to skarb dla naszego społeczeństwa, pociecha, że już raz zaczyna trzeźwieć i bez frazesów zabiera się do rzetelnej pracy... Czemże mogę służyć?

— Pani taka łaskawa, że istotnie, aż mi wstyd... Ale ja mam prośbę, wielką prośbę... Ja, ja chciałbym prosić, żeby pani redaktorka była tak łaskawą, tak dobrą popierać w swych tak niezmiernie poczytnych organach nasze stowarzyszenie... Napisać o niem, o jego celu i pożytku czasami parę słów...

— Ależ naturalnie! Nie parę słów, całe artykuły o niem będą! Takie stowarzyszenie toć to opatrzność boska... Ja wprawdzie zawsze zajmuję wobec nowych programów stanowisko neutralne, wyczekujące, ale w tym wypadku obowiązkiem naszym popierać was ciągle i usilnie... Józinek! — zawołała.

Wszedł lokaj chudy, o żółtej twarzy.

— Józinek — mówiła panna Blaga — napiszesz artykuł o stowarzyszeniu, którego ten pan członkiem — w piśmie *Tempora et mores* jeden, w *Reformacyi* drugi, w *Błyskawicy* trzeci. Artykuły mają być gorące, długie, całą opinię naszego kraju poruszające do głębi! Zrozumiałeś?

— Dobrze pani redaktorko.

Nie wiedziałem w szale radości, czy upaść pannie Bładze do nóg i całować jej lakierki, czy rzucić się jej na szyję... Nie, nie uczyniłem nic takiego, bo bałem się zbezcześcić ten święty majestat...

Ze łzą w oku ucałowałem tylko końce jej paluszków i tyłem do drzwi zwrócony, cofałem się, kłaniając..

— Boże drogi! — myślałem — jakie ja mam szczęście... Skąd tyle łaski?

*

— Józinek! — zawołała panna Blaga po mojem odejściu.

Wszedł Józinek.

— Masz tu artykuł o „matchu footballowym“, dać na naczelnem miejscu w *Tempora et mores*. Ten drugi o balu maskowym umieścić w *Reformacyi* we fejletonie... Do *Błyskawicy* dać dokładny przebieg wyprawy automobilowej księcia Rio de Janeiro...

— Kiedy proszę pani redaktorki, już nie ma na to miejsca. Artykuły o bojkocie i o celach „Straży polskiej“ zajmą ten plac...

— Głupiś, kochany Józinku! Już dość tej Polski, tych spraw polskich, tej biedy i wołania Polski! Pismo musi być poczytne. Co kogo sprawy bojkotu n. p. obchodzą? Umieścić tylko petitem, gdzieś w kącie, że takie a takie stowarzyszenie powstało, podać jego adres, powiedzieć, że ma na celu bojkot i dopisać słowa „Szczęść Boże“... Rozumiesz?

— Dobrze!

— A słuchajno Józinek. Uważać, żeby anonse firm zagranicznych były bez błędu drukowane... Skarżą mi się fabrykanci, zwłaszcza pruscy, że korekta niedbała!!..

*

Na trzeci dzień, zachwycony usłużnością i gorącem poparciem panny Blagi, znów do niej poszedłem. Przyjmowała, jako prezes wszystkich stowarzyszeń...

— Jak się pan miewa, kochasiu... Co nowego? Czem mogę służyć...

Śliczna była, dziś znów piękniejsza, niż kiedykolwiek. Kontusz miała na sobie polski, trzewiczki atłasowe, a pierś jej gorąca falowała szczęściem ojczyzny...

— Doprawdy — jąkałem nieśmiało — tak się wstydzę, że nadużywam cierpliwości i łaski pani dobrodziejki, zacnej pani prezesowej... ale, ja mam taką prośbę...

— Mów pan śmiało! Ja pana tak cenię. Chce pan wstąpić do naszych stowarzyszeń...

— Nie, teraz nie, bo ja już w „Straży polskiej“...

— Ach, panie, jak to dobrze. Co za pyszne stowarzyszenie! Tego właśnie nam brakowało. Apolityczne, nikomu w drogę nie wchodzi, potrzebne, pożądane... Wszystko dla was zrobię, czego tylko zażądacie..

— Ja też właśnie proszę uprzejmie, aby pani prezes była tak łaskawą w swych przemówieniach zająć się nami, zalecić popieranie nas, wzajemne popieranie się siebie... Bo my naprawdę nie wadzimy nikomu, my dla społeczeństwa, dla bojkotu pracować chcemy!...

— Panie! Toż to moim świętym obowiązkiem! Bądź pan pewien, że wszystko to zrobię, nakażę wprost, aby moi członkowie wstąpili do waszego stowarzyszenia, zasilali was pracą, radą...

— Ach, pani prezesie... Ja słów nie mam..

Wyszedłem rozkochany, oczarowany...

*

— Jakób! — zawołała panna Blaga.

Wszedł lokaj gruby, tłusty.

— Roześlesz komunikaty do członków z zawiadomieniem, żeby żaden z naszych nie ważył się wstąpić do tego nowego stowarzyszenia, lecz zwalczał je na każdym kroku!! Mało nas tu? Co za bezczelność tych ludzi uzurpować sobie prawo do służenia ojczyźnie!! Banda karyerowiczów chce się robić ważną iwielką! Zrozumiałeś?

— W tej chwili pani prezesowo...

*

Jeszcze byłem parę razy u panny Blagi. Jaka to słodka, dobra, obywatelska pani! Niech ci Bóg da zdrowie i siły do dalszej pracy...

*

Aż raz, pewnego wieczora, przyszedł do mnie przyjaciel — i powiedział mi wprost, żem osioł — i udowodnił mi to...

— Jezus, Marya! — zawyłem z rozpaczy — ja jutro mam iść do swojego prezesa, zdać mu sprawę z moich czynności... co ja mu powiem...

— Powiesz mu prawdę, że panna Blaga oszukała cię, wyśmiała cię, zakpiła sobie z ciebie, ze stowarzyszenia, ze wszystkich... Powiesz mu, że panna Blaga, jako kupcowa — to fałsz, jako redaktorka — to dwa fałsze, jako prezes — to trzy i t. d.

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! — jęczałem...

*

Struchlały stanąłem przed obliczem prezesa.

Opowiadałem, a zęby mi dzwoniły z bólu i lęku.

On słuchał, paląc (zapewne pruskie!) cygaro...

Kiwał głową, uśmiechając się to boleśnie, to zjadliwie...

Gdym skończył, rzekł:

— Byłem na to przygotowany. Blaga to Muza nasza, to protektorka nasza...

Umilkł, po chwili spytał:

— I co pan na to?

— Mam myśl — zawołałem nagle z przejęciem. Niech się pan prezes ożeni z Blagą, a stowarzyszenie nasze pójdzie!...

Zerwał się na te słowa z krzesła, wypluł cygaro —: „Bałwan“ — zakrzyknął — i wyrzucił mię za drzwi!...

*

Latałem po ulicach wzburzony. — „Na pojedynek tego mamuta wyzwę... Zastrzelę, jak... jak... On mi śmiał powiedzieć: Bałwan!!... Ten stary anarchista..

Wściekły stanąłem przed „handelkiem“. Bez namysłu wszedłem do środka.

— Kelner — krzyknąłem — dać mi bombę niemieckiego Spatenbrauu, — bojkotować „ich“ towar naszym obowiązkiem..

Piłem piwo, rozmyślając, kogo wybrać na sekundantów.

Nagle przyszła mi do głowy genialna myśl.

Zażądałem pióra, atramentu, i — zamiast pojedynkować się — napisałem do prezesa bilet tej treści:

„Ponieważ pan dla dobra stowarzyszenia nie chcesz połączyć się z panną Blagą, przeto — nie posiadasz pan żadnych kwalifikacyj na galicyjskiego polityka“.

Sądzę, że większej impertynencyi „mężowi publicznemu“ powiedzieć nie można. *(aeub).*

Goście z Galicyi.[1]

Warszawa coraz częściej miewa gości z za kordonu. I teraz otwiera mury swoje na przyjęcie wycieczki galicyjskiej. **Wycieczka ta jest niewątpliwie objawem znamiennym** dla życia tej dzielnicy, odgrywającej coraz większą rolę w procesie odrodzenia ogólno polskiego.

Królestwo i Galicya, oddzielone od siebie linią słupów granicznych, strzeżonych pilnie, rządzone przez dwa państwa, z których każde na zupełnie innych rząd swój opiera zasadach, odbiegły od siebie znacznie w ciągu tych lat kilkudziesięciu stanowiących dla Galicyi dobę ocknienia się i zebrania sił po długim okresie germanizacyi, dla Królestwa zaś — dobę ucisku i rusyfikacyi nieznanej przedtem.

Lata od upadku powstania styczniowego do dni październikowych 1905 r. były dla Królestwa latami dewastacyi, latami powolnego usuwania i tępienia resztek instytucyi polskich, resztek życia narodowego i resztek praw, zawarowanych przez rządy dawniejsze.

Przeciwnie dla Galicyi, lata od bitwy pod Sadową i od wprowadzenia ustroju konstytucyjnego w Austryi, były latami ciągłych zdobyczy w zakresie życia narodowego. Szkoły, sądy i administracya, w czasach przedkonstytucyjnych — niemieckie, zostały spolszczone. W całym kraju zaczął się odbywać proces stopniowego zrzucania tej skorupy, jaka na żywym organiźmie narodowym powstała pod wpływem usilnej germanizacyi, prowadzonej od czasu pierwszego rozbioru przez rząd centralny w Wiedniu, mający na swoich usługach liczną armię urzędników, Niemców i Czechów, w rodzaju osławionych Precliczków z „Wielkiego Świata Capowic“.

Autonomia, aczkolwiek i dziś jeszcze daleka od ideału, a nawet od tego, co się oddawna najsłuszniej Polakom w Austryi należy, wprowadziła jednak kraj na drogę powolnego, ale trwałego rozwoju i ludzie, którzy pamiętają Galicyę z przed lat 40, stwierdzają zgodnie, że postęp, jaki się w niej dokonał na wszystkich polach, jest bez zastrzeżeń wybitny.

Zupełnie innem tętnem uderza dzisiaj życie narodowe w tej dzielnicy, jak uderzało przed laty. Powierzchowne „zaustryaczenie“ społeczeństwa, jakie pamiętamy nawet my, młodsi, znika szybko i niedługo należeć będzie do nigdy niepowrotnej przeszłości, której uosobieniem będzie chyba jakiś prowincyonalny „koncepista“ starostwa lub komisarz policyi, marzący o karyerze *a la* Sherlock Holmes na bruku wiedeńskim.

Do tej przeszłości zaczyna także należeć pewna, swoista zasiedziałość mieszkańców Galicyi i bierny ich stosunek do innych dzielnic Polski

Niedawne bo to jeszcze czasy, kiedy każdy, kto bywał w Galicyi, spostrzegał dwie rzeczy uderzające: po pierwsze nieznajomość stosunków, panujących w Królestwie, po drugie — przesadną obawę przed rządem rosyjskim, obawę, posuniętą tak daleko, że sama myśl przebycia granicy, poddania się rewizyi celnej i zobaczenia zblizka „prawdziwego“ żandarma rosyjskiego, odbierała ludziom ochotę do podróży. Byli i tacy, którym wycieczka do Warszawy nasuwała natychmiast przed oczy conajmniej widmo cytadeli, jeżeli nie grozę dalekich, bezludnych stepów syberyjskich, gdzie można się znaleźć łatwo, nie wiedząc kiedy i za co.

Wytworzeniu się tej obawy sprzyjały środki, przy pomocy których rząd tłumił ostatnie powstanie, i metody, jakie zastosował w kraju, celem „ściślejszego i ostatecznego zespolenia go z państwem“.

Stan rzeczy w Królestwie różnił się wówczas tak zasadniczo od stanu rzeczy w Galicyi, że przeciętny obywatel tamtejszy, oddychający wolnem powietrzem, nie mógł myśleć bez trwogi o tem, że

[1] Artykuł ten wybitnego poety i publicysty umieścił *Głos Warszawski* na kilka dni przed przybyciem do Warszawy wycieczki galicyjskiej, urządzonej przez „Straż Polską“. Autor świetnie zrozumiał jaki cel przyświecał naszej „Straży“ i wybornie scharakteryzował przyczyny dotychczasowego biernego stosunku Galicyi do innych ziem polskich.

tuż za granicą, mimo najlegalniejszego paszportu, jego wolność nie jest już tak pewną, jak w domu.

Trwogę tę podtrzymywała w nim z jednej strony prasa. źle informowana o najważniejszych nawet wypadkach w Królestwie, obsługiwana przez ludzi, którzy podawane przez siebie wiadomości umieli przyprawiać w sposób, budzący jaknajwiększą sensacyę, podtrzymywaną zresztą świadomie w społeczeństwie galicyjskiem, przez opowiadania byłych uczestników powstania, z drugiej strony — pojedyncze wypadki aresztowań, jakie zachodziły tu i ówdzie na pograniczu, wskutek rozmaitych, [illegible]ziej lub mniej uzasadnionych podejrzeń.

Gdy aresztowanie takie zaszło, a wiadomość o tem rozbiegła się po kraju, w społeczeństwie [illegible] groza, i przez czas dłuższy ludzie, należący [illegible]szcza do kategoryi t. zw. spokojnych i Bogu ducha winnych obywateli, obawiali się Warszawy i Królestwa jak ognia. Woleli natomiast dla przyjemności i rozrywki pojechać do Wiednia, który ich nęcił swoją wesołą, wolną od trosk, atmosferą wielkiego miasta stołecznego.

Stąd wśród inteligencyi galicyjskiej z przed lat jeszcze 15-tu było niezmiernie mało jednostek, znających Królestwo i jako tako poinformowanych o najważniejszych sprawach jego życia wewnętrznego. W Galicyi nie zdawano sobie wówczas sprawy ani ze stanu naszego szkolnictwa, ani z istotnych dążeń i zamierzeń administracyi, ani z przebiegu [illegible]akterystycznych momentów tej walki ukrytej, [illegible] społeczeństwo w Królestwie, tytułem obrony [illegible]onych resztek bytu narodowego, musiało to[illegible] rządem na wszystkich niemal polach. Ta walka, dla której jedynie słusznem mianem byłoby miano „partyzantki duchowej", narażona była oczywiście na prześladowania, wskutek zaś tych prześladowań stopniowo wytwarzała się w Królestwie emigracya polityczna nowego stempla. Nie szła ona jednak utartymi szlakami, wskazanemi jej przez poprzedników z okresów minionych, ale, korzystając z [illegible]niennych warunków, w jakich znalazła się Galicya, w jej obrębie szukała schronienia i odpowiedniego dla siebie pola do działania. Emigracya ta zwłaszcza w ostatniem dziesięcioleciu wieku ubiegłego (1890—1900), stała się zjawiskiem powszedniem.

Od tej pory stosunki między Królestwem a Galicyą, stosunki, które przedtem bodaj że nie miały żadnego określonego charakteru, a zadzierżgały się przypadkowo, przy zupełnej bierności Galicyan, a jedynie dzięki częstym wycieczkom mieszkańców Królestwa do zdrojowisk galicyjskich, zaczęły nabierać cech odmiennych. Nastąpiło wzajemne poznawanie się, wzajemne, stopniowe zrozumienie swoich potrzeb.

W Galicyi zaczęto w bardzo nieśmiały sposób interesować się życiem Królestwa i przyglądać się z daleka jego szybkiemu, żywemu tętnu. W Królestwie zaś oceniono dość szybko i trafnie doniosłość, jaką posiadają bliższe stosunki z Galicyą. Miejsce płytkiego lekceważenia, z jakiem poprzednio niejednokrotnie traktowano Galicyę i jej mieszkańców, mówiących zbyt często „całuję rączki" i „*servus*", zastąpił szacunek dla tych usiłowań, jakie kraj podejmował. Nauczono się patrzeć z podziwem na zdobycze kulturalne Galicyi, mającej szkolnictwo polskie, na rozwój w jej uniwersytetach nauki polskiej, na gniazdo, które sobie poczynała wić w Krakowie sztuka polska, z malarstwem i poezyą na czele. Jednocześnie otwierały się ludziom powoli oczy na upadek kultury w Królestwie, na wygasanie w Warszawie jasno dawniej płonących ognisk nauki, na powolne przesuwanie się ośrodka polskiego życia umysłowego ku Krakowowi.

Wszystko to, razem wzięte, wywołało nieco prawidłowszą cyrkulacyę krwi pomiędzy Królestwem a Galicyą. Mieszkańcy Królestwa jeździli tam już nietylko „po zdrowie", ale jeździli także po to, ażeby przyjrzeć się bliżej życiu galicyjskiemu, poznać działalność kółek rolniczych i kas zaliczkowych, rozejrzeć się w pracach Sejmu, zobaczyć szkoły ludowe w ich pięknych gmachach i t. d. Młodzież z Królestwa zaczęła też wstępować coraz liczniej na uniwersytety galicyjskie i to nietylko dlatego, że ją zmuszały okoliczności do szukania przytułku w Krakowie lub Lwowie, ale dla samej nauki.

Równocześnie wśród młodzieży galicyjskiej zaczynała się budzić nie już chęć, ale żywo odczuwana potrzeba poznania Warszawy i specyficznych warunków istnienia społeczeństwa polskiego pod berłem rosyjskiem. Pomimo więc granicy i stalowych oczu żandarma, ślizgających się po twarzy każdego przejezdnego, młodzi obywatele galicyjscy decydowali się coraz częściej na podróż do Królestwa, przyczem okazywało się niejednokrotnie, że niebezpieczeństwo, związane z tą podróżą, nie było znów tak nieuniknione, ażeby miało *a priori* paraliżować swobodę ruchu turystycznego.

Ruch ten rozwijał się też stopniowo i rozwija się nieustannie, aczkolwiek daleko mu jeszcze do tego, ażeby zdołał już wypełnić te braki, jakie wytworzyła długoletnia obawa przed nim.

Obie dzielnice nie znają się jeszcze i nie rozumieją w stopniu dostatecznym, co jest rzeczą niezmiernie smutną w chwili, w której mówi się tyle o potrzebie wzajemnego poznania się narodów... słowiańskich. Niechże przedewszystkiem te dwa społeczeństwa, należące do jednego narodu — mają ułatwioną możność bliższych z sobą stosunków i lepszego, wzajemnego poznania się.

W i e l k i m k r o k i e m n a p r z ó d w t e j d z i e d z i n i e j e s t z o r g a n i z o w a n a o b e c n i e p i e r w s z a, l i c z n i e j s z a, g a l i c y j s k a w y c i e c z k a z b i o r o w a d o W a r s z a w y, która niewątpliwie odpowie na to taką samą wycieczką do Krakowa i Lwowa.

Z. Dębicki.

Błędne koło.[1]

Ile razy czytam w dziennikach „sezonowe" artykuły, nawołujące publiczność do gromadnego i solidarnego popierania krajowych zakładów kuracyjnych, — zawsze przychodzi mi na myśl, że dotychczasowa metoda, stosowana w naszej prasie, do żadnego rezultatu w tej sprawie doprowadzić nie może.

Przed forum publiczne stale wytaczane bywa oskarżenie, polegające na tem, że my, Polacy, posiadając w Królestwie, Galicyi i na Litwie różne bogate źródła lecznicze, urocze i pamiątkowe okolice, bory i stepy, — ba, nawet polski brzeg morza na Kaszubach, lub w Połądze — pomimo to zbogacamy naszym groszem zagraniczne (obce) bady, kierując się w wyborze przesądami i konwencyonalnemi kłamstwami.

Na poparcie słuszności zarzutów, ten lub ów oskarżyciel dziennikarski powołuje się na naszą nieznajomość kraju, na niezaradność polską, lekkomyślne upodobanie do zagranicy i t. p., a wszystkie te „argumenty" bywają podlewane grubo sosem taniego patryotyzmu i gryzącej ironii na temat gnuśności polskiej i wykrętów, używanych jakoby w celu usprawiedliwienia się z wyjazdu za granicę dla poratowania zdrowia.

Cały wielki zastęp osób, przekładających zagraniczne kurorty ponad miejscowe zakłady lecznicze, — jest zatem winowajcą wobec kraju, trwoniącym swoje (krajowe) pieniądze, w sposób nie dający się usprawiedliwić ze stratą dla naszego społeczeństwa, a z wątpliwą, a właściwie żadną dla siebie korzyścią. Należy więc wyjeżdżających gromić za brak patryotyzmu, należy dobitnie im tłomaczyć, że niegodnie czynią, popierając zagraniczne deptaki, należy wreszcie mocno przekonywać, że Nałęczów jest rodzonym bratem modnego Spaa, a skromna Józefinka jest tyle warta, co przepłacana woda Emska, — a wtedy w myśl pięknej zasady „czyń każdy, co każe duch Boży, a całość sama się złoży" — winowajcy się ukorzą i poprawią, wszyscy będziemy zadowoleni, zagraniczne kurorty będziemy oglądać jedynie na etykietach sprowadzanych do Ojcowa butelek Mühlbrunu lub Kreuzbrunu, a nadewszystko nasz patryotyzm będzie uratowany.

Ale, czy skuteczna to metoda? — to pytanie, na które dotychczasowa praktyka nie może, niestety, dać twierdzącej odpowiedzi.

Gazety oddawna już gromią publiczność w sezonowych odezwach za wyjazdy do zagranicznych „wód", — a publiczność... czyta artykuły, wzdycha, kiwa głowami, ...pokiwa i jedzie tam, gdzie jej się podoba...

W niniejszej notatce pozwalam sobie zwrócić uwagę czytającego i myślącego ogółu na zasadniczy błąd, jaki tkwi prawie we wszystkich artykułach, nawołujących nasze społeczeństwo do popierania krajowych miejscowości leczniczych, jak również w t. zw. „korespondencyach" z naszych uzdrowisk.

Błąd ten widzę w bezzasadnem lekceważeniu kardynalnej strony sprawy, w dziwnem pomieszaniu pojęć uczuciowych z pojęciami ściśle realnemi, wreszcie w nadużywaniu wielkich haseł i podporządkowaniu tych ostatnich interesom poszczególnych jednostek — przedsiębiorców.

A więc przedewszystkiem nie mogę zrozumieć, na jakiej podstawie oskarżyciele dziennikarscy świadomie ignorują ten niezaprzeczony fakt, że przeważająca większość ludzi, wyjeżdżających do zagranicznych zakładów kuracyjnych, udaje się do danej miejscowości nietylko w zupełnem przeświadczeniu, że tam mianowicie, a nie gdzieindziej, ulgę w cierpieniu znajdzie, ale nadto czyni to z wyraźnego przepisu lekarza, którego rady zasięga i któremu ufa zupełnie?

We wszystkich zatem podobnych wypadkach należy albo zupełnie od oskarżenia odstąpić, albo też, co najwyżej, skierować oskarżenie przeciwko lekarzom, którzy mylnych jakoby wskazówek swym pacyentom udzielają i bez żadnej zgoła potrzeby zagranicę ich wysyłają.

Poza tem jednak nie da się zaprzeczyć, że dosyć znaczny procent osób, z pośród wyjeżdżających na kuracyę lub odpoczynek letni zagranicę, możnaby z korzyścią dla kraju, a bez straty dla nich samych powstrzymać od wyjazdu i zapełnić niemi krajowe uzdrowiska i stacye klimatyczne.

Ażeby wyjaśnić sobie, czy możliwa jest jakakolwiekbądź akcya w tym kierunku, kto i w jaki sposób mianowicie do tej akcyi przystąpić powinien — należy sobie dokładnie uprzytomnić, czego wymagamy i wymagać mamy prawo od miejscowości kuracyjnych, a co dają nam nasze zakłady lecznicze i nasze stacye klimatyczne?

Prawdopodobnie przyjmiemy twierdzenie, że każdy „kuracyusz", wyjeżdżający po pracy i umęczeniu całorocznem do „wód" lub do stacyi klimatycznej, pragnie uzyskać ulgę w cierpieniu, wygodę, odpoczynek dla swych nerwów i względne zadowolenie z pobytu.

Za te wszystkie warunki oczywiście trzeba płacić, nie krępując się przytem wydatkami.

Są to zasady elementarne, nie wymagające dowodzeń nigdzie w całym świecie kulturalnym, za wyjątkiem jedynie naszego kraju.

Tylko u nas brak oryentacyi może stwarzać bezzasadne oskarżenia i stawiać wymagania, ażeby publiczność, szukająca ulgi w zdrowiu i odpoczynku po pracy, wyrzekała się w imię względów uczuciowej natury wygód i warunków, które jej powinny być zaofiarowane.

Otóż nasze zakłady lecznicze i stacye klimatyczne nie wytrzymują bodaj względnego porównania z racyonalnie prowadzonymi zakładami tegoż rodzaju zagranicą, chociaż mają wszelkie dane ku temu; nasze zakłady kuracyjne z winy swej gospodarki nie mogą zadawalniać wymagań przeciętnego inteligenta, przyzwyczajonego do wygód, czystości i porządku; nasze zakłady lecznicze, ustępując zakładom zagranicznym pod względem ofiarowanych kuracyuszom warunków, nietylko nie są tańsze, ale częstokroć pobyt w nich drożej niż zagranicą wypada.

Oto taki — n. p. Iwonicz, hojnie przez naturę wyposażony we wszystkie warunki, niezbędne do urządzenia wspaniałego *Kurortu*, wolał jednak pozostać na szarym końcu w rzędzie austryackich zakładów leczniczych, i dotąd nie ujawnił innych aspiracyi poza dążeniem do opodatkowania pacyentów niepomiernie wysokiemi opłatami za udzielaną im gościnę.

Wszystkie budynki zakładowe, a w szczególności domy mieszkalne — są to stare rudery drewniane (za wyjątkiem łazienek I. klasy), gontem kryte, zawilgłe i opuszczone, w których trudno byłoby doszukiwać się nietylko względnego komfortu i porządku, ale chociażby elementarnej wygody i poszanowania przepisów hygieny, jakie w zakładzie leczniczym przedewszystkiem przestrzegane być winny. Dosyć powiedzieć, że w najlepszych iwonickich willach zakładowych: „pod Pogonią" i w „Belwederze" — wyprawa na ścianach opada, brudne i zawalane drzwi i okna nietylko nie malowane, ale nawet nie wyszorowane, podłogi nie wyczyszczone

[1] Umieściliśmy w swoim czasie wezwanie do popierania zdrojowisk krajowych. Nie możemy jednak zaprzeczyć, że im wiele, bardzo wiele brakuje. „Sezon" przeszedł, więc nikt nam nie zarzuci, że umieszczając artykuł „Błędne koło" chcemy podkopywać „swoich", owszem, celem naszym wykazując złe, zachęcać do poprawy. Wówczas dopiero nasze zdrojowiska będą mogły konkurować z zagranicznemi i zatrzymywać pieniądz w kraju. Dzisiejsza gospodarka do tego prowadzić nie może — owszem doprowadzi do upadku naszych zdrojowisk co już niestety widzimy. Więc słowa prawdy niech będą przestrogą. Dodamy jeszcze, iż autor lepiej zna Królestwo niż Galicyę, ale i tu i tam jedno i to samo „błędne koło". *Redakcya.*

ani pomyte, a ubikacye klozetowe — to istne nory cuchnące, zalane i zanieczyszczone. W tych warunkach za pokój, raczej za izbę mieszkalną z nędzną tandetą, za umeblowanie służącą, zarząd zakładu raczy pobierać tylko pięć koron dziennie!

Kapiele w łazienkach I ej klasy nie mogą zadowolnić wymagań człowieka do czystości przywykłego, a o łazienkach II i III klasy jak o Ryczywole zamilczeć wolę, bo te jedynie rumieniec wstydu wywołać muszą. Jednorazowa kąpiel w I ej klasie kosztuje 2 kor. 40 hal. Pokój, na czytelnię przeznaczony, mieści się w budynku kąpielowym i jakby na urągowisko czytającym stanowi teren do harcowania po nim młodzieży przy akompaniamencie nieustającego trzaskania staremi oszklonemi drzwiami (z trzech stron) i głośnych rozmów oraz nawoływań spieszących do kąpieli matek i nianiek z zastępami milusińskich.

Orkiestra, złożona z doborowych sił muzycznych izraelskich z grodu tarnowskiego, dwa razy dziennie wykonywa produkcye muzyczne i, stale trawestując utwory najpierwszych mistrzów (przeważnie obcych), usiłuje niewinnych słuchaczów przenieść w krainę mąk doczesnych.

Spacery po 2—3 ścieżkach leśnych lub też po ulicy Iwonickiej illustrują dosadnie zamiłowanie zakładu do czystości i porządku; w tym względzie konkuruje on z zarządami małych miasteczek i wsi, i chce wygrać rekord wszechgalicyjski.

Bogata biblioteka zakładowa, mieszcząca się na 4—5 pułkach trzech małych szafek i składająca się z dzieł autorów odleglejszej doby naszego piśmiennictwa, dopełnia czary przyjemności iwonickich.

Restauracye są dwie; mało o nich powiedzieć można: obiedwie niepokaźne, nietrujące, niezamożne, i niezbyt czyste; ot, tak sobie nieco lepsze, niż w Tykocinie lub w Żarnowcu; za trzy i pół guldena dziennie można nie być głodnym.

Oczywiście gospodarka w zakładzie iwonickim obliczona jest na frekwencyę licznej rzeszy galicyjskiej żydowskiej publiczności, która święcie wierzy w skuteczne działanie miejscowych solanek, przyjmując w pokorze wszystko, co na miejscu znaleźć może, — jest niewybredną, nieprzyzwyczajoną do wygód i do przestrzegania porządku.

W tym ostatnim względzie pomiędzy publicznością i zarządem zakładu panuje zupełna jednomyślność i niczem niezamącona zgoda.

Patrząc na wspaniałe dary, jakich Bóg udzielił Iwoniczowi w postaci leczniczych źródeł i uroczego otoczenia, w rozgoryczeniu musimy zapytać, dlaczego kultura 20 go wieku zapomniała o Iwoniczu?

Czytelniku, jeżeli pod wpływem uczuć do kraju wybierzesz Iwonicz na miejsce letniego pobytu, to bądź pewny, że po kilku dniach tam spędzonych patryotyzmowi twemu stanie się zadość.

Iwonicz jest odległy od stacyi kolei „Iwonicz“ (?) — 14 kilometrów.

Sądzę, że bez mijania się z prawdą można powyższy ustęp, dotyczący Iwonicza, w głównych zarysach, ze zmianą nazwy miejscowości — podać jako korespondencyę z każdego prawie naszego zakładu kuracyjnego.

Na poparcie tego sądu mogę przytoczyć następujące dane i fakty, które dobitnie illustrują pojęcia zarządów, właścicieli willi, restauracyi i hotelów w krajowych miejscowościach kuracyjnych.

W Ciechocinku, po zajęciu lokalu w prywatnej willi, musiałem sobie kupić karafkę i szklankę do wody, świece i zapałki, kałamarz, atramentu, papier i pióro, — bo gospodyni nie poczuwała się do obowiązku zadowolenia „podobnych moich grymasów“.

Klozet mieścił się na podwórzu, w wątłej i przeźroczystej budce, którą lokatorowie sąsiednich domów hurtownie dla siebie zdobywali.

W łazienkach panuje zamęt i ścisk; „numer 1-szy“ od niedawna ratuje, jak może, sytuacyę; pomimo to jednak, z racyi wydawanych darmo w wielkiej ilości uprzywilejowanym osobom kąpieli, łazienki są stale przepełnione; o należytem wymyciu wanny dla następnego „gościa“ nie może być mowy; w restauracyi po godzinnem oczekiwaniu można dostać.. nakrycie; natrętnych śmiałków, domagających się obiadu, wnet przyprowadzają do porządku argusowe spojrzenia kelnerów; kuchnia pozostawia wiele do życzenia, a czystość i porządek jeszcze więcej.

Poza parkiem — spacerów w Ciechocinku niema gdzie używać, boć przecie peregrynacye po terenie pastwiskowym, biegnącym w stronę Wisły i ku tężniom, mogą zadowolnić jedynie najmłodsze pokolenie kuracyuszów.

Znajdujące się w sercu Ciechocinka „sklepy“ i różne zakłady handlowe są „niezrównane“; — „promenada“ w okolicach dworca kolejowego wzbudza zachwyt w sferach „naszych“, a o dzielnicy izraelskiej obawiam się cośkolwiek nadmienić, nie chcąc urazić delikatnego powonienia czytelnika.

Nad strukturą willi, ich urządzeniem zewnętrznem i wewnętrznem, — możemy bez straty czasu przejść do porządku. Kto z kuracyuszów chce mieć w Ciechocinku czystą i dostatnią pościel, — niechaj ją przywiezie z domu.

Nałęczów, w porównaniu z innymi zakładami krajowymi, zdradza przynajmniej chęci i dążenia do wzniesienia się na poziom miejscowości kuracyjnej. Ma jednak braki poważne, które stanowczo powinny być usunięte

Teren do spacerów (pieszych) za szczupły i nie urządzony; część parku jest przesycona wilgocią. Orkiestra zakładowa — niedostateczna pod względem ilości, jak również i jakości sił muzycznych.

Po trzydziestu latach istnienia Nałęczów nie zdobył się na połączenie ze stacyą kolei, — chociaż odległość zakładu od dworca wynosi zaledwie 4—5 wiorst. Wörishofen — niewielka osada bawarska — już w 10-tym roku po otwarciu zakładu dla publiczności zostało połączone ze stacyą kol. Türkheim elektrycznym tramwajem (4 kil.), a oddawna posiadało wyborną szosę.

Po przybyciu do Nałęczowa przed paru laty dostałem (dzięki stosunkom) pokój w pałacu na drugiem piętrze, z pościelą mokrą i do tego stopnia cuchnącą, że literalnie nie byłem w stanie zasnąć. Noc spędziłem na stołku; o piętro niżej grała ochoczo muzyka; bawiono się zawzięcie.

Wspomnienia o wspaniałym Ojcowie i uroczej Pieskowej Skale, mogą najspokojniejszemu człowiekowi odebrać dobry humor. Już dość jest przetrząść kości po osławionej drodze od Olkusza via Przeginia lub Sułoszowa (16 wiorst), ażeby mieć pojęcie o polskiej kulturze. Jeżeli nawet w szczęśliwym wypadku podróż ta odbędzie się bez wywrócenia, to w każdym razie patryotyzm kuracyusza na poważny szwank zostaje narażony.

Zrozpaczony letnik stając nareszcie u brzegów Prądnika, uczuwa się zupełnie bezradnym, cały bowiem zapas energii wyczerpał się w walce z wyrwami, kamieniami i paroksyzmami rozszalałych wehikulów olkuskich. Z prawdziwą wdzięcznością przyjmuje wszystko, co tylko mu jakakolwiek miłosierna dusza ofiarować raczy.

Obwieszona stale prześcieradłami „Gopłana“ wydaje mu się zaczarowanym zamkiem, przysadzista buda zwana „Hotel pod Łokietkiem“ wzbudza uniesienie, a w p. Piwowarskim, okrągłym restauratorze, gotów jest uznać dobroczyńcę ludzkości.

Nie widzi brudu, który całową grubością pokrywa wszelkie widoczne i niewidoczne akcesorya letniska, nie czuje wonnych, rodzinnych zapachów w hotelu, w willach i chatach miejscowych, nie zwraca uwagi na sterty śmieci dokoła; wszystkie zmysły odmawiają letnikowi posłuszeństwa; nie ma on już żadnych „grymasów“, żadnych absolutnie pożądań.

Po przebytym egzaminie patryotyzmu czuje się przydeptanym, spłaszczonym; wszystko, co widzi i dostaje, zaczyna mu się nawet „podobać“; dręży tylko na myśl o powrocie do Olkusza, a gdzieś głęboko na dnie duszy coś się łamie i buntuje przy porównaniu Ojcowa i Pieskowej Skały z podrzędnem nawet letniskiem zagranicznem.

O Zakopanem, tej perle naszych Tatr, można powiedzieć, że miejscowość ta, gdyby znajdowała się w posiadaniu Niemców, z pewnością stałaby się już dawno „weltkurortem“, ściągającym dziesiątki tysięcy gości.

Widoki nierównane, powietrze cudowne, woda, lasy, łąki, komunikacya kolejowa; jednem słowem jest, zdaje się, wszystko, co potrzeba.

A jednak... Zakopane marnieje...

Dlaczego? Dlatego jedynie, że nie mamy w naszem społeczeństwie ducha przedsiębiorczego; w gospodarce zakopańskiej niema rozmachu, zrozumienia rzeczy, niema poczucia obowiązku, niema istotnego patryotyzmu; wśród miejscowych przedsiębiorców panuje tylko kołtuńska łapczywość na grosz, żądza obdzierania ludzi nawet za widok leśny, za powietrze, ba nawet za słońce — słowem, za to wszystko, czego żaden z nich nie kupił, a czem Bóg go hojną ręką obdarzył

Co tylko miejscowy przedsiębiorca wykonał, to wszystko jest albo wprost wstrętne, albo też bardzo mało warte. Dosyć przypomnieć sobie zakład i łazienki *a la* Chwistek, Krzeptowski *e tutti quanti*, dosyć spojrzeć na Krupówki z cukiernią, żydowskimi kramami.

Wszystko to stanowi taką nędzną, szarą, zaśniedziałą plamę, kalającą boski iście krajobraz, że boleść prawdziwa targa duszę, szczególniej jeśli porównamy Zakopane z sąsiednim Szmeksem na węgierskiej stronie.

O Jaworzu na Śląsku Austryackim niema co mówić; miejscowość i okolica odznaczają się małowniczością położenia; gospodarka i stan zakładu — niżej wszelkiej krytyki.

Solca i Buska nie widziałem; znamy jednak dobrze te miejscowości z opowiadania i opisów stałych bywalców

Wszędzie dzieje się toż samo. Powszechnie słyszymy narzekania na nieznośną komunikacyę, na brud i niedbalstwo dominujące w zakładach na każdym kroku; na to, że zdrowa publiczność i goście z okolicy ciągłemi hasaniami, zabawami, w zakładach urządzanemi, zamącają spokój prawdziwie chorym, że nikt nie wypełnia przepisów, że służba jest niewyrobiona; że więcej dba o datki, aniżeli o poszanowanie rozporządzeń zarządów i lekarzy; że nigdzie niema bodaj znośnej orkiestry i t. d

Mamy u siebie wszystko to, co i inne narody od natury otrzymały; mamy więc doskonałe pod względem własności leczniczych źródła, mamy wspaniałe widoki, świetne warunki klimatyczne, urocze lasy i t. p., a jednak nasi właśni współziomkowie-przedsiębiorcy nie rozumieją własnego interesu i nie liczą się z postępem kultury. Nie liczą się z tem elementarnem pojęciem, że miejsce kuracyjne lub stacya klimatyczna musi zapewnić choremu lub letnikowi te warunki i wygody, do jakich tenże przywykł za które chce i może zapłacić.

Dosyć często daje się słyszeć zdanie, że postęp w gospodarce naszych zakładów jest możliwym jedynie przy zwiększonym napływie kuracyuszów Odwrotnie zaś kuracyusze powiadają: jeśli w kraju otrzymamy to, czego za własne pieniądze mamy prawo się domagać i co zagranicą otrzymujemy, wtedy sami, bez zachęcania do krajowych zakładów jeździć będziemy.

Otóż więc i błędne koło; kto ma racyę?

Zdaje się, że racya leży bezwzględnie po stronie kuracyuszów.

Przedewszystkiem wyzysku i anarchii w gospodarce nie usunie bodaj największa frekwencya, raczej ją powiększy. Poza tem, absolutnie zrozumiała jest rzecza, że zakład kuracyjny, czy stacya klimatyczna, jest takiem samem przedsiębiorstwem, jak naprzykład sklep, warsztat, fabryka, zakład przemysłowy i t. p., gdzie gospodarka i należyty rozwój muszą się opierać na zasadzie *„do ut des“*, na zasadzie wzajemnej wymiany ustosunkowanej do rzeczywistej wartości zaofiarowanego dobra

Oczywiście, na zachodzie Europy nikomu nawet na myśl nie przyjdzie, że do sumy wygód, zaofiarowanych gościom w miejscowości kuracyjnej, przedsiębiorca ma prawo dołączyć żądania uczuciowej natury; że właściciele willi, zakładu kuracyjnego, restauratorzy w miejscowości leczniczej — mają prawo wymagać od kuracyuszów względności i pobłażliwości w imię ich patryotyzmu; że, jednem słowem, miłość do kraju ojczystego ma być źródłem zarobku dla przedsiębiorców w zakładach kuracyjnych.

Takie rozumowania trzeba raz, z całą stanowczością odrzucić, jeśli chcemy być zdrowo myślącemi i dojrzałem społeczeństwem.

Kwestyę należy postawić otwarcie, ze znajomością rzeczy, bez wszelkich wykrętów, właśnie w imię przywiązania do kraju Należy z całą stanowczością zaznaczać, że gospodarka w naszych zakładach kuracyjnych musi być na zdrowych zasadach oparta, *że zakład kuracyjny powinien odpowiadać swemu przeznaczeniu*, że pod płaszczem patryotyzmu nie wolno nikogo wyzyskiwać, że zakład leczniczy nie może być prowadzony w ten sposób, iżby kuracyusz przez patryotyzm swój spędzał bezsenne noce w nędznej izbie na walce z robactwem, a we dnie był traktowany jako intruz pełen „grymasów“.

Społeczeństwo — przez swoją prasę — powinno kategorycznie postawić swoje wymagania i gromić ową robaczywą gospodarkę, tembardziej, że skarbowe zarządy Ciechocinka i Buska, jak również herbowi właściciele Iwonicza i Ojcowa, wreszcie przedsiębiorcy Solca, Rabki, Zakopanego i innych miejsc kuracyjnych nie najgorsze interesy na swych przedsiębiorstwach robią, że oni zwłaszcza w racyo-

nalnej gospodarce patryotyzm i poczucie obowiązku ujawniać powinni.

Jest to jedyna droga, na którą prasa nasza wstąpić nareszcie jest obowiązana.

Bo i czegoż dowiodła dotychczasowa taktyka prasy, operująca mdlejąco — uczuciowemi odezwami do społeczeństwa na temat „cudze popieracie, — swego nie znacie“ i t. d.?

Zamożniejsza publiczność umie sobie radzić, — bo może Po pierwszym, a najwyżej po drugim egzaminie z wytrwałości patryotycznej. — przyznaje się do „braku patryotyzmu“ — z wykrętem albo bez wykrętów i jedzie w świat leczyć się i odpocząć.

Pod wpływem dzikich orgii hakatyzmu coraz większa ilość osób omija państwo bojaźni Bożej.... i wyjeżdża na sezon kuracyjny do Austryi, Belgii i Szwajcaryi; w krajowych zakładach leczniczych i stacyach klimatycznych pozostaje mniej zamożna publiczność i uboższe żydostwo.

Zagranica zabiera polskie pieniądze i znosi, ba nawet uprzedza wszelkie „grymasy“ (które w rzeczywistości są zwyczajnemi żądaniami ludzi do wygód i dobrobytu przywykłych), — a za to polskie uzdrowiska są wprawdzie wolne od grymasów zamożniejszych gości, ale też nie mogą rościć pretensyi do miana kulturalnych miejscowości leczniczych.

Z. K. Z.

POLSKA
w literaturze niemieckiej.

„Jak świat światem, Polak Niemcowi nie będzie bratem“ przysłowie może ostatecznie nawet zbyteczne. Bo „bratem“ w pełnem znaczeniu tego wyrazu żaden naród drugiemu być nie może, braterstwo bowiem wymaga nieraz poświęcenia własnego dobra na rzecz drugiej jednostki, a taka miłość bliźniego w zakresie pożycia narodów byłaby zaprzeczeniem patryotyzmu. Prawda, mamy inne przysłowie: „Węgier, Polak — dwa bratanki, i do szabli i do szklanki“, ale naprzód „bratanki“ to już dalsi krewni, a powtóre ani „szabla“ ani „szklanka“ nie są najważniejszymi objawami międzynarodowego życia, przynajmniej nie w dwudziestem stuleciu. Owo polsko-niemieckie przysłowie możemy zatem przyjąć jako trochę zbyteczne stwierdzenie prawdy, i bez tego zrozumiałej. Zauważyć trzeba, że ściśle biorąc jest ono niejasnem: nie mówi wyraźnie, kto komu z „braterstwem“ się narzuca, a kto na wezwanie odmownie odpowiada; czy Polak nie chce być Niemcowi bratem, czy Niemiec nie chce Polaka za brata uznać. Filologiczna niejasność zgadza się z historycznym stanem rzeczy: między Polakami i Niemcami nie było nigdy „braterstwa“ z wyjątkiem, pozornym jednak, jednej chwili, jak to poniżej się okaże, — nie było, bo jakoś żadna strona do niego szczególnej ochoty nie miała, co zresztą również nikogo dziwić nie powinno: jednostki sąsiadujące z sobą mogą się czasem kochać, narody, o miedzę mieszkające, muszą się nie lubieć.

Jak było w polityce, tak było i w literaturze, zwłaszcza w literaturze pięknej, więc w poezyi, w powieściach i w dramatach, które zawsze są odźwierciedleniem rzeczywistego życia. Nie brak i w naszem piśmiennictwie głosów niechęci, nieraz nawet wprost nienawiści ku Niemcom: to fakt zbyt oczywisty i naturalny, by go można usiłować zakrywać. Jeśli zatem w niemieckiej literaturze znajdzie się także wylewy nienawiści ku Polakom, to na pozór wszystko jest w porządku. Na pozór tylko, bo zestawiwszy jedną i drugą literaturę, przypatrzywszy się im okiem nie Polaka, lecz bezstronnego badacza, spostrzeżemy różnice, i to liczne i znaczne. Naprzód różne są źródła tej nienawiści: polski powieściopisarz lub poeta dramatyczny ile razy Niemcom wyraża nienawiść, zawsze czyni to z miłości własnej ojczyzny, nienawidzi Niemców dlatego i o tyle, że [illegible] wrogami — zwykle zwycięskimi — jego ojczyzny: nawet w *Jeńcach* Lucyana Rydla, najsilniejszym — a skromnem zdaniem podpisanego [illegible] — wylewie nienawiści ku Niemcom, gorący patryotyzm jest źródłem tamtych uczuć. Inaczej jest z literaturą niemiecka: jej polonofobia obok tego źródła, na które nikt bezstronny oburzać się nie będzie — ma i drugie: nienawiść dla nienawiści, jak jest „sztuka dla sztuki“; stąd często nawet tam, gdzie niemiecki autor samych Polaków przedstawia lub gdzie miesza ich wprawdzie z Niemcami, lecz bez uwzględnienia walki narodowościowej, i tam wybucha polonofobia, czasem tam właśnie najsilniej; u Hauptmanna n. p. Polak, zresztą zawsze niepotrzebny i wprowadzony chyba tylko ze złości, stale jest szubrawcem. Powtóre anti-niemiecka polska literatura piękna ma, z bardzo nielicznymi wyjątkami — dobrą wiarę i prawdomówność, niemiecka anti-polska niemal zawsze jest kłamliwą, co najmniej przesadną. Polski autor zapewne dość często maluje ujemne właściwości Niemców, lecz zgodnie z prawdą, przesadza czasem, ale tylko, gdy podkreśla pewne śmieszności niemieckie, więc bez nadmiernej złośliwości: *Krzyżakom* Sienkiewicza nawet niemiecka krytyka zarzucić kłamstwa nie mogła (wytykała autorowi jeno to, że przedstawił tylko ówczesny upadek moralny Zakonu, a nie odmalował dawniejszej jego chlubniejszej działalności) Niemiecki autor naprzód z umysłu przebiera miarę w obrazie polskich wad, n. p. w opisach „polskiej gospodarki“, powtóre wmawia w Polaków błędy, jakich oni nie posiadają n. p. jakąś żywiołową, rozhukaną namiętność (Sacher Masoch) lub szczególną zbrodniczość w religijnym szale (Klara Viebig) A tu spostrzega się rzecz bardzo przykra: oto najwięcej kłamstw, i to kłamstw najbardziej nam ubliżających, powiedzieli o Polakach nie ci Niemcy, którzy nas nienawidzą, lecz ci, którzy nibyto będąc nam nawet życzliwymi, nie znali nas, w najlepszym razie znali nas powierzchownie, z przysłuchiwania się jakiej rozgłośnej rozprawie sądowej lub z jednorazowych odwiedzin karczmy. Halbe nas całą duszą nienawidzi, ale więcej od niego zaszkodził nam wspomniany już Leopold Sacher-Masoch, który, sam chorobliwy erotoman wypisywał straszne bajki o rzekomo typowych namiętnych Polkach a na nieszczęście będąc współpracownikiem paryskiej *Revue des Deux Mondes*, oszkalował nas i przed Francyą.

Dzieje tej niemieckiej literatury „pięknej“ zwykle bardzo brzydkiej — są i długie i ciekawe, a w końcu może i pouczające Prawdopodobnie jej pierwszym okazem jest zapisana przez kronikarza Gallusa łacińska pieśń żołnierzy cesarza Henryka V., pobitego przez Bolesława Krzywoustego. Wlecze się ona potem przez następne stulecia, towarzysząc historycznym wypadkom, aż za Sasów zakwita bujniej, ale od razu wrogo dla Polski. Niemiecki historyograf tej gałęzi piśmiennictwa, p. Arnold utrzymuje, że nadworni sascy „poeci“ chcąc w swem służalstwie przypodobać się swym chlebodawcom, umyślnie jak najdosadniej przedstawiali „barbarzyństwo“ Polaków, aby na tem sztucznem tle zajaśniało „poświęcenie“ elektorów, którzy z pięknego Drezna raczyli cywilizować barbarzyńską Warszawę. Wiek ośmnasty w ogóle dla niemieckiej „Polenliteratur“ jest przełomowym Aż do powstania Kościuszkowskiego Polska w oczach „oświeconych“ Niemców jest krajem średniowiecznego fanatyzmu religijnego, pogardy godnego obskurantyzmu Tak patrzy niemiecka literatura n. p. na Konfederacyę barską, o której sam Fryderyk Wielki pisze wzorem Voltaire'a *Dziewicy Orleańskiej* wielki poemat epiczny *La guerre des Confederes*, szkalując w nim do syta Polaków Nieudały zamysł konfederatów porwania króla Stanisława Augusta odbija się żywem echem w literaturze niemieckiej, a wybawca króla, Kuźma, obdarzony szlachectwem i nazwiskiem Kosińskiego, urasta w oczach Europy na bohatera (schillerowski szlachetny zbójca Kosinsky jest wprawdzie Czechem, ale nazwisko i charakter wziął niewątpliwie po owym Kuźmie). Zmienia się to nagle z rokiem 1794. Od powstania Kościuszkowskiego Polska staje się ulubieńcem postępowej części niemieckiego społeczeństwa, a więc i jego literatury pięknej. *Demetryuszowi* Schillera należy się osobne miejsce, bo dramat ten z jednej strony czarnemi barwami maluje anarchię polskich sejmów, z drugiej jednak z wielkim szacunkiem kreśli smutną postać Zygmunta III a na czoło wysuwa niehistoryczną postać Lwa Sapiehy, wzniosłego przedstawiciela *liberum veto*, które poecie, oburzonemu na gwałty tłumów podczas rewolucyi francuskiej, wydało się jedynym głosem rozumu u nielicznych jednostek. Ale współczesny Schillerowi Zacharyasz Werner, później mistyczny romantyk, otwiera szereg sentymentalnych wielbicieli nieszczęśliwej Polski. Za nim idzie wielu, aż koło roku 1830, w dobie powstania listopadowego, cała rzesza niemieckich poetów śpiewa „Polenlieder“, przecząc przysłowiu, że „jak świat światem, Polak Niemcowi nie będzie bratem“.

Powszechnie u nas roni się łzy żalu nad tem, że owa poezya Lenaua, Platena, Mosena, Holteia i w. i. tak krótko trwała, tak rychło w nienawiść ku Polakom się zmieniła. Niechaj będzie nam wolno i tutaj, jak to obszerniej przed kilku laty na innem uczyniliśmy miejscu, wyrazić odmienne zdanie. Oto tego sentymentalnego polonofilstwa nie tylko nie żałujemy, lecz przeciwnie obwiniamy je o to, że w naturalnej reakcyi wywołało ruch, który stopniowo się rozwijając, doprowadził dzisiejsze niemieckie społeczeństwo do hakatyzmu. Bo naprzód kim, jakimi byli ci poeci, co się nibyto nad nami roztkliwiali? Jedni, jak n. p. Lenau, z nich może najbardziej sławiony, to ludzie chorzy fizycznie i umysłowo, wykolejeni, równowagi duchowej pozbawieni, ciekawi, nawet mili w swym smętku, ale do życia praktycznego niezdolni — więc głos ich, chociaż szczery, doniosłości realnej mieć nie mógł. Inną grupę stanowią ci, którzy kochali nie nas, ale wolność, wyraźniej mówiąc, rewolucyę; Polaków uważano wtedy i jakiś czas jeszcze potem za jaskółki rewolucyjne, „Sturmvogel der Revolution“, jak mówiono, nie nas ale rewolucyę w nas kochano, nas tylko o tyle i tak długo, o ile i jak długo biliśmy się za wolność swoją i... cudzą; gdy Europa się uspokoiła, poczęto nas nienawidzić jako niebezpieczeństwo dla tego spokoju. W pobliżu tych stoi trzecia grupa polonofilów niemieckich: kochają nas na zasadzie zdania: „nieprzyjaciel mojego nieprzyjaciela jest moim przyjacielem“, kochano Polaków jako wrogów Rosyi, przez ogół niemiecki wówczas znienawidzonej; gdy później nietylko rząd, ale i naród niemiecki pogodził się z Rosyą, myśmy zapłacili koszta pojednania. Byli dalej i tacy, co bałaśliwie w słowie i w piśmie rzucali się w objęcia Polaków na złość własnemu rządowi; i znowu gdy po roku 1848 ogół niemiecki złączył się z rządem, znowu nie kto inny, ale my padliśmy ofiarą tej zgody. Przedewszystkiem zaś ówczesne sentymentalne polonofilstwo niemieckich poetów uważamy za ojca hakatyzmu dlatego, że Niemiec jest trzeźwy, a gdy nabawi się nieopatrznie upojenia moralnego, to potem się go wstydzi i by zatrzeć jego pamięć, jest jeszcze trzeźwiejszym. Takim „moralischer Katzenjammer“ było w oczach Niemców ich polonofilstwo, takiem otrzeźwieniem wszystko, co potem nastąpiło.

Pierwszym jego objawem jest epokowa mowa poety Wilhelma Jordana w Zgromadzeniu narodowem w Frankfurcie n. M. w r. 1848. Z każdego jej słowa wyczytamy potwierdzenie tego procesu myślowego i uczuciowego, który powyżej przedstawiliśmy. A charakterystyczną jest rzeczą, że w tej gwałtownej reakcyi usposobienia względem Polaków na czele kroczą najwięksi odtąd aż do dni dzisiejszych nasi wrogowie w Niemczech, liberały. Liberał Gustaw Freytag w powieści „Soll und Haben“ ogłasza pierwszy po polonofilstwie epokowy polityczny manifest hakatyzmu (w r. 1855): nienawidzi nas jako słowian, nienawidzi nas jako biednych, jako „arystokratów“, jako katolików, jako „obskurantów“. Rozlewa się teraz rzeka nienawiści ku Polakom, w setkach powieści i dramatów wyrażonej, nie najsłabiej w Austryi, gdzie wspomniany Sacher Masoch smalone duby o nas plecie, a żydek galicyjski Franzos gada w nowellach brednie o „Halb-Asien“, niestety w swych współwyznawcach, pracujących w berlińskich, frankfurckich i wiedeńskich redakcyach tylu znajdując naśladowców. Hauptmann, Sudermann, Halbe to szczyty tego „poetyckiego polakożerstwa“, a tego ostatniego dramat *Mutter Erde* z pijanymi Polakami śpiewającymi ochrypłym głosem „Noch ist Polen nicht verloren!“ to najwyuzdańszy wybuch tej wściekłości

Ale w nich ona zdaje się przesiliła się Bo oto niespodzianką zapewne będzie dla [illegible] świadomych rzeczy czytelników, gdy im powiemy, że [illegible] zapewne tak pilnie jak nikt u nas nowsze [illegible] niemieckiej „Polenliteratur“, widzimy w nich znaczne osłabienie nienawiści, spokojniejszy ton. Co to znaczy? czy jest to objaw pojawiającej się i w życiu politycznem już w ostatnich czasach opozycyi przeciw hakatyzmowi? Dałby Bóg... Ale to tylko przypuszczenie, życzenie. Co pewnem już jest, to fakt, że ów bardziej ludzki ton niemieckich poetów, o Polsce piszących pojawia się od czasu, gdy polskość, zwłaszcza w Poznańskiem, umacnia się, szczególniej w dziedzinie gospodarczej, gdy polska szlachta pozbywa się dawnego życia nad stan i marnotrawstwa, gdy mieszczaństwo rośnie w dostatek, gdy lud wiejski się oświeca.

A tak i z rozpatrywania naszego przedmiotu wypływa to przykazanie, które zewsząd do nas

przemawia: Bądźmy silni! Wtedy Niemcy kochać nas nie będą, jak i my ich nigdy nie pokochamy, ale wtedy nie będziemy potrzebowali bać się nienawiści złych, będziemy mogli cieszyć się z szacunku uczciwych.

Dr. Józef Flach.

Wiedeń i bojkotowanie Berlina.

Od początku czerwca roku bieżącego aż do tej chwili w lokalach publicznych wiedeńskich rozlega się często i gęsto mowa polska.

Rzut jeden oka na rozmawiających i od razu poznajesz, że masz przed sobą przyjezdnych turystów. Bywały dni i godziny, że w piwnicy ratuszowej miałem Polaków u wszystkich stołów obocznych za sąsiadów. Z dolatujących urywków rozmowy mimowoli się dowiadywałem, że są to mieszkańcy tak zwanych „prowincyi zabranych“, Królestwa Polskiego, Galicyi. Jedni jechali do wód czeskich, inni do Szwajcaryi, jeszcze inni w Pireneje albo do kąpieli morskich francuskich, ostatni do Abbazyi.

Owo zjawisko mnie zainteresowało. Mieszkam w Wiedniu lat z górą dziesięć. Jeszcze ani razu nie zauważyłem w zwykłym okresie turystycznym tak znacznego przepływu Polaków przez Wiedeń, jak w roku obecnym. Dowiadywałem się w hotelach mi znanych o frekwencyi Polaków. Czytywałem i czytuję jeszcze teraz bardzo uważnie listę przejezdnych, meldowanych w hotelach tutejszych. Lista, obok nazwiska, wykazuje miejsce stałego zamieszkania. Zebrane tą drogą informacye potwierdziły powyższe spostrzeżenie: liczba przejeżdżających lata bieżącego Polaków przez Wiedeń pomnożyła się w czwórnasób.

Jaka tego zjawiska przyczyna? Przecież i poprzednio Polacy jeździli do wód czeskich i do Szwajcaryi, do Lourdes, do kąpieli morskich francuskich. Zwłaszcza Polacy z Królestwa i Cesarstwa, lepiej uposażeni, niż Polacy galicyjscy, a przytem mniej oszczędni, łatwiej wydający pieniądze bez potrzeby koniecznej, a więc goście najbardziej pożądani zagranicą. Tak, prawda! Jeździli. Lecz drogą na Berlin.

Jeden z moich krewniaków, stale mieszkający w Warszawie, powiedział mi wręcz:

— Od lat czternastu jeżdżę, jak wiesz, co roku do Karlsbadu. Z Warszawy udawałem się do Berlina. Tam kilka dni łaziłem po mieście, kupowałem to i owo, aż wreszcie ruszałem do Karlbadu. W tym roku postanowiłem ominąć Berlin. Nadłożyłem drogi i dołożyłem trochę pieniędzy. Ale nie żałuję. Wiedeń, dawniej miasto ładne, robi się poprostu prześliczny. Architektura cudowna, zieloności i kwiatów tyle, że niedługo Zurych skryje się w kąt. Oświetlenie doskonałe. Jedzenie droższe, niż w Berlinie, lecz w zamian lepsze. Najważniejszy przecież zysk w moich oczach to fakt, że nie dałem zarobić ani Berlinowi, ani pruskim kolejom.

— I czy myślisz — ciągnął po chwili — że ja jeden tak robię. Mógłbym ci wymienić setki osób, które postąpiły tak samo. Bojkotujemy Berlin! To nam wolno robić, tego nam nikt nie zabroni, a do odwiedzenia Berlina nikt nas nie zdoła zmusić. Kto zaś nie może pominąć Berlina, bo jedzie do wód belgijskich, ten zatrzymuje się w Berlinie tylko od pociągu do pociągu. Skutkiem takiego przestanku hotele nie zarobią, ani magazyny, ani restauracye.

Również od innych osób się dowiedziałem, że w tym roku z Wilna do Szwajcaryi jadą na Wiedeń, choć poprzednio jechały na Berlin. Właściciel drugorzędnego, lecz świetnie położonego w śródmieściu hoteliku, znany mi od lat czternastu, gdy mu zakomunikowałem o tem bojkotowaniu Berlina przez Polaków, oświadczył, że wie już od swoich klientów polskich o taworyzowaniu Wiednia ze szkodą Berlina.

— Bywały dni — mówił — że musiałem odsyłać do hoteli, z którymi pozostaję w stosunkach, dwunastu, piętnastu podróżnych. Ale i gdzieindziej nie było miejsca.

Wiedeń ma zatem prawo być zadowolonym z bojkotowania Berlina. Prawom towarzyszą przecież obowiązki. Do obowiązków zazwyczaj nikt się nie poczuwa tak długo, dopóki go do tego nie zmuszą.

Wiedeń korzysta materyalnie z przejazdu i pobytu polskiej zamożniejszej publiczności. Niechże w zamian kupcy, właściciele kawiarń, hoteli, restauracyi, ogłaszają się w gazetach polskich. Niech w owych hotelach, kawiarniach, restauracyach będzie dużo gazet polskich, nie jedna, lub najwyżej dwie, jak dotychczas. Niech w personalu będzie choć jeden Polak, który mógłby dawać podróżnym polskim objaśnienia w ich ojczystym języku!

Polacy z Królestwa i Cesarstwa władają zazwyczaj słabo językiem niemieckim, przekładając nad ten język inne, jak francuski i angielski. Tak samo sklepy większe powinny dbać o posiadanie Polaka lub Polki w personalu, o polskie katalogi lub cenniki. Naśladujmy Anglików. Ci zagranica, wszędzie, gdzie się zjawiają w znaczniejszej ilości, wymagają respektu dla swego języka i dla swych odrębności narodowych. A ponieważ płacą i są solidarni, przeto umieli wywalczyć to, czego chcieli.

Kilka lat systematycznej pracy, podjętej co sezon podróżniczy przez przybywających Polaków, sprawią, że Wiedeń będzie się liczył z publicznością podróżującą polską. Wyjdzie to na korzyść Polaków mieszkających w Wiedniu stale. Ci właśnie dlatego, że mieszkają stale, są materyalnie zależni od władz niemieckich, niejednokrotnie nie mogą występować w obronie praw, przynależnych polskości, jak to potrafi zrobić turysta, wszędzie mile witany z racyi swego wypchanego pugilaresu i lżejszej ręki w wydawaniu grosza.

A teraz małe obliczenie statystyczne.

Przypuszczam, że w roku bieżącym trzy tysiące rodzin polskich, liczących razem 10 000 osób, pojechało z Królestwa i Cesarstwa na Austryę zamiast na Niemcy i Berlin. Cyfra nie za wysoka. Przypuśćmy dalej, że każda z tych dziesięciu tysięcy osób wydałaby na przejazd kolejami pruskiemi w obie strony, na życie w wagonie, na hotel i utrzymanie w Berlinie, na sprawunki i przyjemności 100 marek. Znowu cyfra nie za wysoka, przeciwnie za mała. Wydatek stu marek na głowę zastępu dziesięciotysięcznego tworzy sumę miliona marek.

Okrągły tedy milion marek w tym roku nie wpłynie do kas kolei państwowych pruskich, do kas hotelowych, do kieszeni kupców, personalu i innych przedsiębiorstw, oraz osób, żyjących z ruchu przejezdnych. Milion! Drobnostka — powie niejeden — dla państwa bogatego, dla ludności, żyjącej w dobrobycie. Tak, ale ten dobrobyt i owe bogactwa powstawały i powstają z zysku na poszczególne marki obliczanego i z fenigowych oszczędności.

Gdy tutaj zabraknie miliona, tam zabraknie miliona, tu będzie bojkotowana stolica, tam przemysł, kiedyindziej koleje; gdy ten bojkot nadto odbywa się w chwili, gdy przemysł niemiecki i rynek pieniężny przechodzą ciężkie przesilenie; gdy na horyzoncie zarysowuje się przejście Anglii do systemu ceł ochronnych — wówczas nawet utrata miliona czy trzech milionów rocznie w bilansie ogólnym jest pozycyą niemiłą. Lepiej, by jej nie było.

Polaków zaś taki ruch, jak bojkotowanie danego państwa, danego miasta, danego przemysłu, przyucza do jednoczenia myśli i czynów, do sprawności w działaniu, do karności. Zaszczepia w nas te przymioty, jakich nam brakowało, przymioty, bez których dzisiaj naród nawet dwudziestomilionowy musiałby skończyć na charłactwo moralne.

Zysk mamy podwójny: nie płacimy na fundusz kolonizacyjny i mężniejemy duchowo!

A.

Jak pogłębić i utrwalić akcyę bojkotową?

Kto mówi, że naród niemiecki nie solidaryzuje się z rządem pruskim w sprawie wywłaszczenia, niech przeczyta te oto słowa znakomitego ekonomisty niemieckiego Schmollera, który głosował za wywłaszczeniem, mimo, że nie jest hakatystą: „Mam sympatyę dla Polaków i ich rycerskości. Jako historyk boleję nad tragicznym losem narodu polskiego, lecz jako Niemiec muszę naturalnie uczynić wszystko, aby uniemożliwić odbudowanie Polski“.

Barbarzyńską ustawą obdarzyły nas już nie Prusy, ale całe Niemcy.

Powrócono z całą energią i bezwzględnością do systemu, stosowanego niegdyś do słowian połabskich i pruskich, po których dziś i ślad nie pozostał.

Bojkot, jakim odpowiedzieliśmy na tę politykę tępienia, powinien być takim aktem energii w dobrej sprawie, jakim wylewem energii odznacza się prześladowanie.

Wiele siły okazał też rzeczywiście ten ruch w Królestwie!

Utworzono tam ligę wytwórczości krajowej, koło samopomocy przemysłowo-handlowej, powołano do życia specyalną prasę bojkotową („Patryotyzm przemysłowy“) i wysłano delegacye w maju do Paryża i Budapesztu, we wrześniu do Wiednia i Londynu, odbierając nawzajem w czerwcu rewizytę francuską. Przygotowano przystosowanie się nowych zwyczajów kupieckich do potrzeb polskich i wywieszono na sklepach napisy: „Nie ma towarów obcych“.

W Galicyi zogniskowała się akcya w dwóch towarzystwach. W Lidze pomocy przemysłowej (Lwów, ul. Słowackiego 18) i w „Straży Polskiej“ (Kraków, ul. Floryańska 1). Powstały tu również agencye do zawiązywania stosunków z zagranicą, wywieszono tu i ówdzie napisy bojkotowe, ale takiego ogólnego i gorącego ruchu jak w Królestwie niema.

Jednak bądź co bądź bojkot istnieje i tu i tam, widać wiele dobrej woli, tu i ówdzie nawet ofiarność.

Mimo woli nasuwa się jednak pytanie: Gdzie jest wyraz skuteczności naszego bojkotu? Ani ubytek w kieszeni niemieckiej, ani przybytek w kieszeni naszej, czy francuskiej, nie dadzą się zmierzyć. Ja sądzę, że miarą skuteczności bojkotu może być jedynie cyfra wyrażająca siły, jakie zmobilizowaliśmy do tej wojny.

Policzmy się zatem. Policzmy się w Galicyi, kto bojkotuje, a kto nie.

Jeśli z policzenia tych, co przystąpili, lub chcą przystąpić do tej akcyi, wypadną setki tysięcy, będzie to ogromna otucha dla wszystkich, którzy są za bojkotem, a przymus dla tych, którzy się ociągają.

Policzyć się zaś możemy w ten sposób:

Niech w czasie od dziś aż do końca bieżącego roku każdy, komu udanie się akcyi bojkotowej leży na sercu, pośle na rzecz utworzyć się mającego funduszu bojkotowego, na ręce „Straży Polskiej“ w Krakowie, lub Ligi pomocy przemysłowej we Lwowie drobną kwotę, stosownie do swej możności. Będzie to rodzaj pogłównego, lub rodzaj jednorazowego podatku wojennego. Będzie to przeliczenie naszej armii i symbol naszej chęci do walki. Przez ogłoszenie wyników tej akcyi w gazetach nabierze ona charakteru wielkiej demonstracyi.

Projektem tym stawiamy każdego Polaka w Galicyi wobec pytania: Posłać coś na ten cel, czy nie posyłać nic? Przed odpowiedzią na to pytanie niech się każdy zastanowi nad temi kilku uwagami:

Na towarze pruskim, do którego wyparcia przez ten drobny datek mamy pomódz, ciążą polskie łzy i krew.

Towar pruski jest dla nas tak samo zabójczy, jak pocisk armatni, lub bagnet, bo podbija nas ekonomicznie.

Niemieckość w jakiejkolwiek formie jest dla nas groźną jak zaraza, bo dąży do wyparcia nas z odwiecznych naszych siedzib, a wdziera się ona w ostatnich czasach i do Królestwa i do Galicyi, jak powódź do nieszczelnego domu.

W tej wojnie, jedynej, jaką w naszych warunkach możemy prowadzić, jest zaangażowany nasz honor narodowy, jak nigdy dotąd w żadnej akcyi. Nie jest hańbą upaść w wojnie, czy partyzantce, stracić nawet wolność pod przemocą, ale jest hańbą dać się znieważyć: — zapowiedzieć wobec całej Europy pomstę, a następnie tej pomsty poniechać z lenistwa, czy też zamiłowania spokoju.

Poza niesłychanem bezprawiem wywłaszczenia, kryje się chęć sprowokowania społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim, czai się bezlitośna śmierć w pikielhaubie, by się rzucić na polskiego chłopa, gdy ten, wypędzany z ojcowizny, zawaha się na progu chaty i okaże choć cień oporu.

Kto czuje nadzwyczajną ważność tej sprawy, ten pośle drobny datek.

Akcya bojkotowa potrzebuje nowego skrzepienia i potrzebuje przedewszystkiem funduszu, aby się mogła na stałe ugrupować.

Taki fundusz jest dla akcyi bojkotowej nieodzowny, potrzebne jest założenie fundamentów pod wieczną budowę. Stojący pod kontrolą publiczną i osobno zarządzany fundusz da nam co roku w publicznych sprawozdaniach obraz rozmiaru i skuteczności akcyi bojkotowej i będzie nam co roku raz na zawsze przypominał, że akcya bojkotowa istnieje, że stoimy pod znakiem wojny.

W Sejmie pruskim wołał kanclerz Bülow dnia 27. lutego w obawie, by posłowie się nie zawahali przy głosowaniu: „wytrwałości, energii, a przedewszystkiem wytrwałości“. Powtórzmyż za nim ten okrzyk i podnieśmy go do godności naszego hasła w sprawie bojkotowej.

Podobny dług, jaki tu mamy spłacić drobnym, jednorazowym datkiem, płaciło się dawniej krwią i nędzą całego życia. Sioła i miasta Syberyi mieszczą dziś jeszcze tułaczy życiem strudzonych i sę-

dziwych, niezdolnych do pracy i oczekujących śmierci w niedostatku i opuszczeniu. Przyzwyczajeni za młodu tylko do pracy umysłowej, musieli na wygnaniu brać siekierę i łopatę, lub pełnić służbę woziwodów, stróżów i parobków, by nie zginąć śmiercią głodową.

Na nasze pokolenie przypadł inny sposób walki z ciemięzcą. Nie ociągajmyż się więc i my spełnić naszego obowiązku.

W tej wielkiej rozpoczętej walce nie starczą siły żadnego Towarzystwa z osobna, nie wystarczy tworzyć specyalne grona i związki. By walka miała widoki powodzenia, potrzeba koniecznie zmobilizowania całego społeczeństwa i utworzenia stałej ogólnej instytucyi bojowej po wieczne czasy. Bo nasz zapał słabnie, a zapał kapitału przeznaczonego raz na cel bojkotu nie osłabnie nigdy.

I stworzenie takiego kapitału, takiego funduszu bojkotowego jest pierwszym i nieodzownym warunkiem udania się akcyi. Ale prócz tego potrzeba jeszcze czegoś, co już się nie da pieniędzmi zastąpić.

Akcya bojkotowa musi mieć koniecznie oparcie moralne w społeczeństwie. Zaś oparcie moralne zyska się tylko w ten sposób, jeśli całe masy naszego społeczeństwa, jeśli całe społeczeństwo przyjmie na siebie moralny obowiązek trwać w akcyi bojkotowej. I do tego znowu nie potrzeba ani kontraktów, ani związków, ani żadnych szczególnych organizacyi, ani żadnych szczególnych wysiłków. Wystarczy tylko zobowiązanie się wobec jednego najbliższego towarzysza, że nie kupi się nigdy w kraju świadomie towaru pruskiego pod żadnym warunkiem, a obcego wogóle nie kupować w takim razie, gdy mamy podobny własny. Od dwóch do dwóch niech idzie ta organizacya i niech wytwarza się atmosfera wzajemnej kontroli, bez której dla nas, którzy nie mając państwowości, nie mamy żadnej egzekutywy dla naszych narodowych nakazów, niema widoków powodzenia żadna i najuczciwsza akcya ogólna.

Połączmy zatem te dwie rzeczy. Dajmy choćby drobnymi datkami ale wszyscy dowód, że stanęliśmy w tej poważnej potrzebie narodowej wszyscy do szeregu a zobowiążmy się wobec najbliższych towarzyszy do poważnego popierania rozpoczętej akcyi, a więc do wytrwania w szeregu.

Jądro rzeczy leży w tem, co powiedział kanclerz niemiecki do sejmu pruskiego, by przeforsować nieludzką ustawę. Tylko wytrwałością zdołamy się tak skutecznie bronić, jak oni nas wytrwale i skutecznie niszczą.

Powtórzmy zatem na zakończenie raz jeszcze te magiczne słowa: „Wytrwałości, energii, a przedewszystkiem wytrwałości“.

Szeregowiec.

Ze sekcyi ekonomicznej.

(Dr K. J. R.).

I. Działalność sekcyi.

Sekcya ekonomiczna, podobnie jak i inne, z powodu wyjazdu wielu członków na lato, nie odbywała w ostatnich dwóch miesiącach posiedzeń — jednak ci członkowie, którzy pozostali w Krakowie, zajęli się wykonaniem dawniejszych uchwał.

Przedewszystkiem rozrzuciliśmy po Krakowie i innych miastach Galicyi wydany przez „Straż Polską“ wykaz najbardziej rozpowszechnionych towarów pruskich i wykaz wyrobów polskich, którymi tamte można zastąpić.

Że ten sposób agitacyi na rzecz krajowego przemysłu i bojkotu hakaty okazał się bardzo potrzebnym i skutecznym, dowód w napływających ciągle z prowincyi zgłoszeniach o większą ilość druków, których pierwszy nakład został zupełnie wyczerpany, tak że w najbliższym czasie musimy sporządzić drugi, uzupełniony i rozszerzony.

Przed tablicami na ogłoszenia „Straży Polskiej“, umieszczonemi w najruchliwszych punktach Krakowa, zawierającemi ten wykaz, gromadziły się ciągle grupy przechodniów, a że go czytano z zajęciem, że nie przechodzono koło niego obojętnie, dowodzą uwagi, jakie ktoś z czytających popisał ołówkiem na jednem z tych ogłoszeń.

Bardzo nas ucieszyło okazane w ten sposób zainteresowanie się ogłoszeniem, a nawet rozciągnięta nad niem kontrola, wolelibyśmy jednak, aby autor uwag zgłosił się do biura „Straży Polskiej“ i tutaj ofiarował nam swą pomoc, zażądał wyjaśnień i swoje spostrzeżenia porobił, bo skutek byłby lepszy i nie byłoby nieporozumień.

Przy notatce, aby nie kupować pruskiego krochmalu „z kotkiem“, dopisano uwagę, dlaczego nie piszemy, jaki zamiast niego polecamy. Zaznaczyliśmy już w N-rze 1 *Straży Polskiej*, w artykule „o programie działania sekcyi ekonomicznej“, że między wytwórcami krajowymi nie robimy różnicy, że nie mamy zamiaru protegować jednych ze szkodą drugich, że konkurencyę zawodową pozostawiamy im samym. Większych i mniejszych fabryk krochmalu mamy w kraju tak wiele, że nie miałoby celu wyliczanie wszystkich, a wymienienie tylko niektórych sprzeciwiałoby się wyrażonej wyżej zasadzie. Mimo to w piśmie naszem Nr. 2 wymieniliśmy fabrykę Bażanta we Lwowie, aby zaznaczyć różnicę między krochmalem pruskim, na którym wyrysowany jest kot, a lwowskim, noszącym tylko nazwę: „krochmal z kotkiem“. W Krakowie wyrabia krochmal „Iskra“, a prawie w każdem miasteczku wyrabia ktoś bardzo dobry krochmal jako przemysł domowy.

Druga uwaga odnosi się do fabryki Pulsa w Warszawie, której wyroby polecaliśmy w ogłoszeniu. Zarzucono nam, że popieramy tę firmę, jakkolwiek we wszystkich dziennikach pisano, że wdowa po Pulsie zapisała cały majątek na cele niemieckie. Wszystko to prawda, tylko autor uwagi nie wie, że Fryderyk Puls był Niemcem, w r. 1852 założył w Warszawie fabrykę perfum, a gdy umarł, wdowa sprzedała fabrykę wraz z wyrobioną już firmą Neprosom, sama jako Niemka przeniosła się do Niemiec, tam resztę życia spędziła, a umierając zapisała majątek na cele niemieckie. Obecna fabryka nie ma jednak z Pulsami prócz firmy nic wspólnego, Neprosowie (Polacy) prowadzili ją lat 20; obecnie jest własnością Towarzystwa akcyjnego, jeśli nie wyłącznie to przeważnie polskiego, zatrudnia kierowników fabryki i przeszło 100 robotników Polaków.

Licząc się z silnym w tych miesiącach ruchem przejezdnych i z rozpoczynającym się rokiem szkolnym, postaraliśmy się o to, aby sklepy krakowskie zerwały z dotychczasowym systemem starannego ukrywania wyrobów krajowych, a reklamowania obcych a natomiast pokazały odbiorcom wytwory swojskie. Wynik zabiegów naszych łatwo stwierdzić, obejrzawszy wystawy sklepowe, które nigdy jeszcze nie poświęciły tyle miejsca przemysłowi polskiemu, co w tym roku. W miarę, jak przemysł ten będzie się rozwijał i skutecznie zastępował obce wyroby, będziemy się starać o zupełne usunięcie ich z okien sklepowych.

Kiedy przed miesiącem obchodziliśmy sklepy krakowskie, w wielu z nich nie wiedziano wcale o wyrobach wawelinowych Bartmańskiego i środkach toaletowych fabryki „Brabant“, a jeśli gdzie o nich wiedziano, to chowano je dyskretnie po kątach, zakładając całe gablotki i wystawy sklepowe wyrobami obcymi. Dzisiaj widzi się różnicę ogromną, niema lepszego handlu, którýby nie umieścił w wystawie wyrobów obu fabryk krakowskich.

Przełamaliśmy więc niechęć czy niedbalstwo kupców. Dalszym warunkiem powodzenia akcyi jest spełnienie obowiązku przez publiczność kupującą i domaganie się wszędzie swojskich towarów.

Ale i to jeszcze nie wystarczy. Pozostaje trzeci warunek, bardzo ważny, może najważniejszy, zależny już tylko od naszych wytwórców. Aby towar krajowy mógł skutecznie konkurować z obcym, nie wystarczy dobra wola odbiorców i pośredników, ani pomoc stowarzyszeń.

Od kupujących można wymagać, aby na rzecz ogólnego dobra ponieśli pewną ofiarę i popierali wyroby krajowe, choćby na razie cokolwiek droższe lub gorsze. Można żądać od kupca, aby i on przyczynił się do dźwignięcia krajowego przemysłu i popierał swojskie wyroby, chociażby przy nich miał trochę mniejszy zysk, lub trochę gorsze warunki nabycia. Ale jedno i drugie ma pewne granice. Nadzwyczajności, poświęcenia, nie mogą wytwórcy żądać ani od kupca, ani od konsumenta. Obowiązek przyczynienia się do ekonomicznego podniesienia kraju ciąży i na nich i od nich mamy prawo czegoś wymagać.

Tymczasem co się dzieje. Z przykrością trzeba powiedzieć, że przez nieznajomość rzeczy, przez brak rzutkości i wyrobienia, przemysłowcy nasi najczęściej zaniedbują nawet to, co przedewszystkiem, bezpośrednio im przynosi korzyść, a dopiero pośrednio krajowi i społeczeństwu.

Społeczeństwo nasze nie jest tak bogate, abyśmy dla idei popierania krajowego przemysłu mogli kupować rzeczy bardzo drogie a liche, dlatego tylko, że wykonane w kraju.

Kupiectwo nasze nie jest jeszcze tak wyrobione i zorganizowane, aby oprócz o sobie mogło myśleć jeszcze i o fabrykancie.

Przemysł, aby miał racyę bytu, musi stać o własnych siłach, przy poparciu kupca i konsumenta, ale nie może liczyć wyłącznie na nich, nie może żądać, aby oni byli jego piastunami, aby go hodowali z pominięciem i zaniedbaniem własnego interesu. Taka roślina cieplarniana, sztucznie wypędzona, nie miałaby warunków bytu i rozwoju.

Wytwórca krajowy, aby mógł skutecznie współzawodniczyć z obcym, musi przynajmniej w pewnej mierze zbliżać się do niego wszystkiem, od czego powodzenie przemysłu zależy, a więc: jakością towaru, jego ceną, umiejętnością rozpowszechnienia go i sprzedania, stworzeniem dla pośrednika możliwie dogodnych warunków.

Zbyt obszerny to temat, aby go tutaj szczegółowo omówić można. Jakość towaru zależna często nie od woli wytwórcy, ale od jakości krajowego surowca lub półfabrykatu, od wyćwiczenia naszych robotników itp. Na cenę składa się bardzo wiele czynników, także przeważnie od fabrykanta niezależnych. Nie można go też winić, że nie potrafi kupcowi dać tak dogodnych warunków dostawy i kredytu, jak zamożny, wielkimi kapitałami obracający fabrykant zagraniczny.

Natomiast rozpowszechnienie i sprzedanie towaru, jeśli ten towar jest dobry i cena przystępna, zależy już tylko od rzutkości i obrotności wytwórcy. Prawda, że i reklama kosztuje, że jest osobną sztuką, którą u nas także dopiero rozwijać trzeba, ale na razie, gdy chodzi o najbliższe rynki zbytu, nie wymaga znów takich ofiar. Prawda, że nie leży w naszym narodowym charakterze natrętność i umiejętność narzucania się, ale wstydliwą skromnością targów handlowych się nie zdobywa i przysłowie: „siedź w kącie, znajdą cię“ do kupca nie ma żadnego zastosowania.

A nasi wytwórcy naprawdę kryją się po katach i chcą, żeby ich szukać. Jak już wyżej wspomniano, przed miesiącem w niektórych sklepach krakowskich, i to pierwszorzędnych, nie wiedziano wcale o wyrabianym w Krakowie „wawelinie“ i gdy go zażądałem, pytano się mnie ze zdziwieniem, co to jest? do czego to służy? gdzie to kto wyrabia?

Rozumie się, że mało rozwinięta pracownia wawelinu nie może się reklamować w ten sposób jak kalodont lub odol, którego ogłoszenia zajmują całe stronice w najlepszych pismach ilustrowanych. Zapewne — ale też tego i nie potrzebuje. Jeśli zaś nie będzie ogłaszać się wcale, jeśli nawet w jej siedzibie nic o niej nie wiedzą, to nie rozwinie się nigdy.

To samo z inną fabryką krakowską. Poleciliśmy w poprzednim numerze jej doskonałe wyroby. I oto jeden z naszych czytelników ze wschodniej Galicyi donosi nam, że posłał zamówienie do tej fabryki i poczta zwróciła mu kartę z zawiadomieniem, że adresat nieznany.

Więc istnieje firma, której wyroby śmiało rywalizować mogą z zagranicznemi co do jakości, i poczta nic wie o jej istnieniu. Odesłaliśmy kartkę do laboratoryum. Właściciel dziękuje nam za poparcie, przysyła pewną kwotę na cele „Straży Polskiej“ i wyjaśnia, że się nie reklamuje, bo swe stosunki handlowe oparł nie na ilości, lecz na jakości klienteli!

Czy to słuszne? Tak mogą mówić lekarze, adwokaci, niektórzy rzemieślnicy, których wynagrodzenie zależy bądź od ich osobistych zdolności, bądź od zamożności klienta (krawcy, malarze pokojowi i t. p.) i którzy liczą tylko na klientelę zamożniejszą, ale przemysłowiec, który swój towar sprzedaje w oznaczonych ilościach, w opakowaniu, po tej samej cenie wszystkim, musi się opierać na ilości a nie na jakości swej klienteli.

W bardzo ścisłym związku z tą sprawą pozostaje druga. Często dochodzą nas skargi, że nawet te pisma, które nawołują do bojkotu firm pruskich, zamieszczają w dziale inseratowym ich ogłoszenia. Wiele pism nie prowadzi działu ogłoszeń we własnym zarządzie, ale je wydzierżawia. Bez względu na to dział inseratowy jest przedsiębiorstwem i po kupiecku musi być prowadzony. Miejsce przeznaczone na ogłoszenia nie może być próżne. Gdyby je nasi przemysłowcy zajęli w zupełności, możnaby do pewnego stopnia żądać od przedsiębiorcy pewnej ofiary na rzecz publicznego dobra i nieprzyjmowania ogłoszeń pruskich. Jeżeli jednak nasi kupcy

i przemysłowcy nie dają pismom ogłoszeń, to trudno żądać, aby pismo nie przyjmowało ich od obcych, skoro dla wielu pism inseraty są głównem oparciem finansowem.

Na zachodzie Europy i w Ameryce każdy kupiec i fabrykant wie o tem, że pieniądze wyłożone na reklamę nie są wyrzucone na marne, ale wracają się stokrotnie. U nas nikt o reklamie nie myśli, nie stara się zawiadomić odbiorców o tem co ma do sprzedania — troskę o rozgłos dla swoich wyrobów pozostawia „Straży Polskiej“, „Lidze pomocy przemysłowej“, lub swoim przyjaciołom.

Gdyby przynajmniej te stowarzyszenia zechciał zawiadomić o swojem istnieniu! gdyby nam przynajmniej ułatwił pracę, którą podejmujemy za niego i dla niego! Do biura „Straży“ zgłaszają się ciągle bądź kupcy, bądź prywatni odbiorcy po wyjaśnienia co do krajowych wyrobów. W bardzo wielu wypadkach daliśmy wyczerpującą odpowiedź, ale w wielu musimy robić prawdziwe studya, aby odbiorcę zbliżyć do wytwórcy, który się przed nim prawie że ukrywa.

W ostatnich 2 miesiącach proszono nas kilka razy o wyjaśnienia co do widoków i warunków założenia rozmaitych fabryk i przedsiębiorstw. Niektórym ze zgłaszających się udzieliliśmy wyczerpującej informacyi, innym wskazaliśmy, dokąd się po nią mają udać!

Sekcya w dalszym ciągu zbiera materyały odnoszące się do krajowego przemysłu, nawiązuje stosunki z lokalnymi komitetami bojkotowymi, organizuje nowe koła, a przedewszystkiem wpływa na kupców, aby usuwali z handlu wyroby obce wogóle, a zwłaszcza pruskie. Członkowie Sekcyi prowadzą tę agitacyę przy sposobności każdego zakupna w handlach, wpływają osobiście na znajomych kupców, wedle możności ułatwiają im to zadanie.

Jestto praca może nie zorganizowana, nie systematyczna, przeniesiona raczej do stosunków życia prywatnego, ale bardzo skuteczna, czego dowody widoczne w Krakowie dla każdego, kto się tą sprawą interesuje. W ten sam sposób wpływamy i na odbiorców a zwłaszcza na młodzież. — Uczenice i uczniowie szkół średnich okazali wielkie zrozumienie akcyi bojkotowej i wiele zapału do niej. Ponieważ jednak z wielu względów uważaliśmy za niewłaściwe organizowanie osobnych komitetów bojkotowych młodzieży, więc znów obraliśmy drogę cichą, nieoficyalną ale skuteczną, wpływania na młodzież, a za jej pośrednictwem i na szersze koła towarzyskie, przez prywatne zebrania i pogadanki o konieczności popierania swojskiego przemysłu, przez moralne zobowiązanie do spełniania tej powinności, i do szerzenia jej poczucia wśród innych.

W społeczeństwie naszem brak jeszcze zupełny zrozumienia tak zwanego „patryotyzmu przemysłowego“ i dlatego zaszczepianie go wśród najszerszych warstw uważamy za bardzo ważną i potrzebną pracę u podstaw i poświęcamy jej wiele uwagi.

Na jesień przygotowuje sekcya szereg wykładów i pogadanek w tej sprawie, objaśnianych okazami przemysłu krajowego, który popierać, i obcego, który wypierać należy.

B. Bojkot towarów pruskich.

Szamplon. *(Shampoon)*, Pisaliśmy w Nr. 2-gim *Straży Polskiej* o tym wyrobie pruskim. Na razie nie mogliśmy na jego miejsce wskazać podobnego wyrobu polskiego i musieliśmy poprzestać na mydłach leczniczych.

Obecnie wprowadziła firma Malinowski w Warszawie swój własny wyrób: *Champon en poudre*, w tej samej cenie co niemiecki. Jedna z pań, która się z nim zapoznała w Warszawie, żaliła się przed nami, że nigdzie w Krakowie nie mogła go dostać, a twierdzi, że wyrób ten zasługuje na poparcie nietylko dlatego, że krajowy, ale i dlatego, że znacznie lepszy niż pruski Schwarzkopfa.

Dziwi nas to, bo chyba krakowskie apteki i sklepy wiedzą o tem, że zastępstwo fabryki Malinowskiego ma w Krakowie p. Bolesław Jawornicki.

Kaloderma. I ten fabrykat pruski wymieniliśmy w N-rze 4. *Straży Polskiej*, podając ogólnikowo, że można go zastąpić krajowemi pastami. Wiadomość tę uzupełniamy dzisiaj, podając, że firma Malinowskiego wyrabia doskonałą pastę *Kalodermine*, którą od pewnego czasu wprowadzono na oddziałach krajowego szpitala św. Łazarza w Krakowie z zupełnem zadowoleniem pp. lekarzy.

Świece kupujemy dotąd przeważnie niemieckie, jakkolwiek mamy fabryki świec w Krakowie, Podgórzu, Tarnowie, Lwowie, Borysławiu, Drohobyczu, Kołomyi, Jarosławiu i inne.

Nici dobre w różnych gatunkach wyrabia fabryka w Nadwórnej

Tłuszcze roślinne fabryka Berleol w Rożniatowie.

Makaron, którego dosyć dużo sprowadza się z obcych fabryk, wyrabia fabryka „Bronisława“ we Lwowie.

Konserwy owocowe i jarzynowe Fabryki konserw w Lubyczy Królewskiej są znacznie lepsze od pruskich i powinne je usunąć z handlu w zupełności.

Mówiąc o środkach spożywczych, trudno pominąć milczeniem **wódki**. Ta gałąź przemysłu jest dotąd — niestety — może najbardziej rozwinięta w kraju. Nie wymieniamy fabryk, bo trudno wyliczać wszystkie, a nie chcemy reklamować jednych ze szkodą drugich. Wszyscy znają cały szereg znakomitych destylarni w kraju, a mimo to prawie w każdym handlu można spotkać wódki „gdańskie“ (z fabryk niemieckich) i różne inne pruskie.

Musztardę niemiecką można także dość często spotkać w naszych sklepach, chociaż wyroby krakowskiej fabryki Düsseldorfskiej przewyższają jakością wszystkie obce.

Papiery listowe, koperty z fabryki S. W. Niemojowskiego we Lwowie, opatrzone znakiem „Ligi pomocy przemysłowej“ (L. P. P.) powinne zupełnie usunąć papiery niemieckie. O ile chodzi o papiery wykwintne, zbytkowne, to znów wyroby francuskie i angielskie przewyższają wielokrotnie jakością tandetę niemiecką a nie są droższe.

Pudełka, kartonaże, cygarniczki papierowe, wyrabia fabryka „Noris“ W. Bełdowskiego w Krakowie — i zasługuje pod każdym względem na poparcie aptek i składów, które potrzebują takiego opakowania.

Papier do pakowania, torebki papierowe, wyrabia firma Lask, Mehrlander i Sp. w Wadowicach.

Zeszytów, notesów, dostarcza „Krajowa wytwórczo-handlowa Spółka przyborów szkolnych“ we Lwowie, a dużo pieniędzy za takie artykuły wysyłamy do Niemiec

Przybory papierowe dla cukierni, bardzo gustowne, wyrabia Anna Krause we Lwowie.

Prawie wszystkie drukarnie galicyjskie używają do druku farb pochodzących z fabryk pruskich, lub od dostawców z Wiednia przysyłających pruski towar z marką wiedeńską. Nawet dzienniki nawołujące do bojkotu pruskich towarów są drukowane farbami pruskiemi. Galicya sprowadza z Prus za przeszło pół miliona rocznie farb drukarskich. Obecnie dopiero tutejsza firma R. Aleksandrowicz w Krakowie (plac Matejki L. 1) objęła zastępstwo wielkiej czeskiej fabryki farb drukarskich i czyni zabiegi, aby je wprowadzić do drukarń galicyjskich. Nadmieniamy, że farby czeskie nie opłacają cła, a więc są tańsze od pruskich.

Głosy członków „Straży Polskiej“.

I.

Szanowna Redakcyo!

Podczas bytności w jednym z Wydziałów tutejszego Magistratu zauważyłem z nieopisanem oburzeniem, że urzędnik przesłuchiwał zawezwaną, a w Krakowie stale zamieszkałą stronę, w języku niemieckim. Zapytany przezemnie, dlaczego bez potrzeby posługuje się tym językiem, oświadczył, że Izraelitów przesłuchuje się zawsze w języku niemieckim, w nim też „koncypuje się“ wszelkie pisma przeznaczone poza Galicyę, gdyż Naczelnicy Wydziałów odmawiają zatwierdzenia takich aktów, spisanych w języku polskim.

Co więcej — zdarzył się nawet fakt, że jedna z władz obcych zwróciła pismo tutejsze, wystylizowane po niemiecku, z uwagą, by Magistrat w korespondencyi z nią posługiwał się językiem polskim, a pewien Wydział Magistratu, którego naczelnik nie hołduje tym zakusom germanizacyjnym, musi celem przemycania referatów polskich przeaprobatę prezydyalną uciekać się dopiero do przez różnych forteli i kruczków.

W czasach więc, gdy żarłoczny Prusak zadaje gwałt naszemu narodowi, w czasach, gdy społeczeństwo nasze w walce na śmierć i życie wydaje Drzymałów i całe zastępy dziatwy, gotowej w obronie swego języka znosić bicie i prześladowania, urzędnicy władzy autonomicznej polskiej, Polacy, płatni z funduszów, składanych przez społeczeństwo rdzennie polskie, stają z całą gotowością na usługach idei germanizacyjnej, wprowadzając ją w czyn wa amem serce Polski

Objaw to, zasługujący ze wszech miar na stanowcze napiętnowanie! X. Y.

II.

Jeden z członków naszej „Straży“ otrzymał obszerny list od młodego emigranta z Parany, który przytaczamy prawie w całości, usuwając tylko ustępy czysto prywatnej natury:

„Dziś przy niedzieli — pisze autor listu — mając więcej wolnego czasu, aniżeli w tygodniu, przejrzałem znowu gazety mi przysłane, oraz i Nr. pierwszy „Straży“. „Straż“ zrobiła na mnie nader przyjemne wrażenie, wprost jestem nią zachwycony i raduję się, że Rodacy naprawdę przeprowadzili myśl piękną. Nas Polaków przebywających na obczyźnie, szczególnie zainteresowały sekcye: ekonomiczna, językowo prasowa i dla spraw kolonizacyi i wychodźtwa; i co do tych myślę podać parę wyjaśnień, może się przydadzą na co „Straży“.

Co do sprawy ekonomicznej, jeden z punktów orzeka, że celem będzie zawiązanie stosunków handlowych z innemi ziemiami polskiemi, pomaganie w rozwoju sklepów, fabryk i t. p. polskich. Bardzo to pięknie, tylko moglibyście panowie i Paranę uważać też za ziemię polską, a jako do takiej zwrócić się i nawiązać handlowe stosunki, a opłacą się one bardzo, bo nie mamy tu żadnych wielkich domów handlowych i przemysłowych polskich, i z konieczności musimy brać towary od Niemców i Francuzów; a zwłaszcza od pierwszych, bo są najtańsze. Był co prawda dom polski: „Unia“, ale ten brał towary nie polskie i właśnie teraz zbankrutował, mimo więc protestu ogłoszonego w tutejszych gazetach, zasłużyliśmy tylko na śmiech. Polacy tutejsi nie są znowu tacy biedni, żeby nie rozkupili jakiego choćby i wielkiego transportu towarów, tembardziej gdyby te były z Polski, ale do takiej sprawy musiałby się zabrać człowiek godny zaufania i obeznany z tutejszym handlem, w przeciwnym razie będzie strata. Jeśli ktoś pobędzie tutaj jakiś czas, staje się kupcem, sam to czuję po sobie; są chwile, że żal mi za Europą, za Uniwersytetem, za studyami i t. d. ale w rzeczywistości zarobiwszy parę set milreisów odrazu wpakowałem je w interes, zamiast wracać za to do Europy.

Łamię się sam z sobą, raz czuję ogromną tęsknotę, to znowu myślę o interesach i o jak największych zarobkach.... Nie jestem zadowolony, bo czyż ma mi to wystarczyć, że mam gdzie mieszkać, co jeść i co pić? Człowiek inteligentny dąży do czegoś więcej, chce od czasu do czasu wziąć jakiś udział w życiu umysłowem, pragnie jakiegoś towarzystwa, jakiejś pogadanki z rozsądnymi ludźmi, ale napróżno, tutaj tego nie ma, trzeba zasklepić się w sobie, samemu sobie wystarczać. Mógłby mi ktoś zarzucić, dlaczego nie idę i nie rozmawiam z kolonistami? Ba! próbowałem nieść kaganiec oświaty, poznałem naszych kolonistów, ale nie mogłem się z nimi zrozumieć — nietylko zachowali wszystkie wady europejskie, ogromną ciemnotę i ogromne zacofanie, ale przewróciło im się w głowie zupełnie, z powodu przeświadczenia o swej pańskości. Ogromna to arystokracya!

Jeden z punktów statutu „Straży“ mówi o stypendyach dla ludzi pracujących nad odrodzeniem narodowem, sądzę, że większego pola i więcej zaniedbanego jak tutejsze, niema nigdzie „Straż Polska“ mogłaby więc zwrócić uwagę na tę „nową Polskę“, zacząć od popierania oświaty tu i budzenia poczucia narodowego. Zwrócenie uwagi na oświatę rozumiem w ten sposób, że n. p. ktoś z młodych inteligentnych Polaków, ma zamiar udać się do Parany i chce tu na początek zostać nauczycielem, „Straż Polska“, której on jest członkiem, zawiadamia o tem „Koło Straży Polskiej w Paranie“, które mając członków po wszystkich koloniach, bardzo łatwo wyszuka odpowiednie miejsce, udzieli informacyj, a co najważniejsza uchroni od wyzysku takich... (Opuszczamy nazwiska)

Podobnie miałaby się rzecz ze wszelkiego rodzaju ludźmi poszukującymi pracy. Pomocy zaś „Straży“ dla wyjeżdżających nie rozumiem, jako pomocy pieniężnej, bo tę, czy to w formie darowizny, czy pożyczki, nie zbyt przyjemnie ambitnemu i młodemu zdrowemu przyjmować, ale raczej ma to być pomoc duchowa, poprostu wyjazd do znajomych i życzliwych, a nie emigracya między ludzi wrogich i nieżyczliwych. Obok informacyj i listów nie należy pominąć wyposażenia w książki szkolne, ludowe, gazety itp chociażby defektowne i używane, te bowiem dla świeżo przybyłego stana się prawdziwem skarbem na kolonii oddalonej od wszelkiego ruchu umysłowego i towarzyskiego. Sam widzę, że ludzie pozbawieni książek i wogóle jakiegoś im-

pulsu, oddają się pijaństwu, co przynosi szkodę i im i całemu społeczeństwu. Z tem wszystkiem pozostają w bardzo blizkiem związku opieka nad kolonizacya i wychodźctwem. Mieliśmy obecnie rażący dowód do czego doprowadziła sprawa robotników zaangażowanych w Galicyi do budowy kolei S. Paulo R. Grande. Robotnicy, którzy mogliby zarobić i to dobrze w Paranie, wrócili z niczem. Dlaczego? bo nikt z Polaków zamieszkałych w Galicyi lub w Królestwie nie okazał się na tyle ciekawym, by sprawdzić ceny tutejsze. Gdyby to zrobiono, przekonanoby się, że cena $3^1/_2$ milreisa jest za niską i że Tow. kolejowe może zapłacić po $4^1/_2$ dziennie, tak jak wszystkim innym robotnikom płaci. Roboty jest dosyć, kto chce dostać dostanie, a każda robota w Ameryce jest szanowana i stosowną; tak samo pracuje robotnik jak i gubernator, rzeźnik i doktór, wszyszy są równi; każdy po pracy, ubrawszy się i umywszy, może iść do teatru i do cukierni.

Nakoniec słów parę należy poświęcić sprawie językowej. Brazylianie są do tego stopnia zarozumiali, że nie chcą się uczyć innych języków, każdy więc, kto zamierza jakiekolwiek interesa prowadzić, musi się nauczyć języka portugalskiego, co szczególnie złości Anglików, ale interes ich zmusza. Z przykrością widzę, że młodzież polska idąc na robotę z kolonii z językiem czystym polskim, po paru miesiącach powraca i zadaje szyku, mówiąc raczej po portugalsku niż po polsku. Boli mię to i złości, i równocześnie z Rusinami z zasady mówię po rusku i za to ich pochwalam, a dwóch chłopaków niemieckich męczę codzienna nauką języka polskiego.

Ostrzeżenie.

Ostrzegamy prasę i publiczność polską przed tow. „Opatrzność“, które korzystając z pozorów filantropijnego i obiecującego wszelkie możliwe dobrodziejstwa włościaństwu polskiemu statutu, sprawuje tu funkcyę subagenta żydowsko-niemieckiej firmy B. Karlsberg w Hamburgu biorąc po 18 K od głowy emigranta; ponadto zaś chyba nie bezinteresownie — agituje zawzięcie w pismach ulotnych i ogłoszeniach za wychodztwem do *San Paolo Espirito Santo*, stanów środkowej Brazylii, w których panuje tropikalne gorąco, znośne dla ludów południowej Europy, ale wprost niemożliwe do zniesienia dla naszych włościan, jak to już smutne dzieje wychodztwa polskiego stwierdziły. Ponadto praca jaka tam czeka naszego bezrolnego włościanina, to uciażliwa robota na plantacyach kawy, do której plantatorzy saupaulitańscy, pamiętający niedawno jeszcze tradycye niewolnictwa i szukający dla braku gotówki robotników najchętniej za wynagrodzeniem w naturze wobec chwilowej hiperprodukcyi kawy na rynku światowym — nie mogą w innych krajach znaleźć dość potulnych i pracowitych kandydatów. Ze jeneralny ajent stanu San Paolo, oraz reprezentacya dyplomatyczna Argentyny, za którą również „Opatrzność“ agituje, wdzięczne jej są za tę działalność nietylko wyludniającą kraj kraj ale i prowadzacą lud na zgubę, to nie ulega wątpliwości.

Na niesumienności polskiego towarzystwa opieki nad wychodźcami, założonego przed dwoma laty w Boguminie przez tego samego człowieka, który tu stworzył „Opatrzność“, poznał się rychło rząd krajowy w Opawie i towarzystwo to rozwiązał. U nas inaczej — „Opatrzność“ ma filie w Oświęcimiu i Jarosławiu — od 20 miesięcy istnieje bez przeszkód — a prasa wprawdzie jej nie popiera, ale niektóre pisma umieszczają dotąd jej płatne ogłoszenia, zachęcające wprost do emigracyi do Brazylii, lub do Argentyny, a władze polityczne zupełnie ignorują działalność towarzystwa, którego błagierski statut tak nieopatrznie zatwierdziły.

Odpowiedzi Redakcyi.

Starszy pomocnik handlowy. Redakcya *Czasu* nadesłała nam wystosowane do niej pismo WPana.

Dziękujemy za zwrócenie uwagi i poruszymy tą sprawę, prosimy jednak o porozumienie się z nami osobiście, raz dlatego, że na anonimach opierać się nie możemy, powtóre — że bojkotując firmę pruską, musimy zaraz na jej miejsce wskazać inne źródło.

Rozumie się samo przez się, że najściślejsza dyskrecya zapewniona.

Treść: Król Jan. — Hetman najszlachetniejszy, przez Dra Kazimierza Lubeckiego. — List z Brazylii, Maryi Konopnickiej. — Po wycieczce do Warszawy (fejleton) przez Kazimierza Bartoszewicza. — Zaraza, przez Antoniego Euzebiusza Balickiego. — Przyczynki do kwestyi ruskiej (dokończenie) przez Kazimierza Bartoszewicza. — Gniazdo orłów przez Dra Kazimierza Lubeckiego. — Ukochane Muzy nasze: II Panna Blaga, przez *aeub*. — Goście z Galicyi, przez Zdzisława Dębickiego. — Błędne koło, przez Z. K. Z. — Polska w literaturze niemieckiej, przez Dra Józefa Flacha. — Wiedeń i bojkotowanie Berlina. — Jak pogłębić i utrwalić akcyę bojkotową, przez Szeregowca. — Ze sekcyi ekonomicznej, przez Dra K. J. Rozwadowskiego. — Głosy członków: a) Niemczyzna w magistracie krakowskim; b) List z Parany. — Ostrzeżenie. — Odpowiedzi Redakcyi.

Z powodu braku miejsca „Rozmaitości“, „Kronikę“ i „Kącik“ zostawiamy do Nru listopadowego.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.